

ZBIÓR POWIEŚCI
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty piąty.



MALEPARTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z XVIII. wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

MALEPARTA — DO CZARTA.

Przysłowie polskie.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

.....
TOM II.
.....



LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

ROZDZIAŁ I.

Nazajutrz całe miasto dowiedziało się o smutnym wypadku mecenasa, którego żona, bez wieści z kim i dokąd, uciekła. Nikt się temu nie dziwował; bo wszyscy słyszeli o ich dziwnem pozyciu, wszyscy żalowali biednej kobiety; a choć gorszono się jej postępkom, które miano za skutek nieprawego przywiązania, więcej go jednak w niej niż w kim innym wymawiano.

Maleparta do rana oczekiwał posłańca, któremu rozkazał wartować około domu p. Stanisława Górskiego; i świtało już dobrze a jeszcze drzwi domu były otwarte, jeszcze mecenas, przy dopalającej się świecy, to szybkim krokiem przechadzał się po izbie, to zasiadał gryząc palce u stolika, na którym machinalnie papiery rozrzucał. Nareszcie wolny chód dał się słyszeć po wschodach i Maleparta zerwawszy się, podbiegł ku drzwiom. Wszedł posłany, otrząsając opończę i czapkę od deszczu, który je przemoczył.

— A cóż? — żywo zapytał mecenas.

— A nic! — odpowiedział obojętnie posłany. — Stałem pod wrotami, stałem, zmokłem i po wszystkim.

— Nic nie widziałeś?

— Chmury na niebie i błoto na ulicy.

— Gadajże! powracał kto w nocy do kwatery. Był w niej ruch jaki, czuwanie?

— Jak przyszedłem tam, wszędzie był ruch i na kwaterze był ruch, bo JW. deputat miał gości u siebie i służba wszystka we wrotach z końmi i kolasami stała. Mówili że grano w karty i w kości na górze u JW. deputata.

— Jakto? Wiec był w domu?

— Zdaje się, kiedy gości przyjmował.

— To być nie może.

— Ja nie wiem.

— No! a potem, a potem?

— Potem goście zaczęli się rozjeżdżać po jednemu, po kilku, i wkrótce wrota nawet od kamienicy zamknięto; a mnie com się pod pozorem interesu dociskał, gwardjacy trybunalscy wartę odprawujący wypchnęli na deszcz w ulicę. Schroniłem się pod przysionek Jezuickiego kościoła, zkąd na kwaterę miałem oko.

— Cóżś widział?

— Ale nic, powiadam waszmości, całą noc tak marzę na deszczu napróżno.

— Nikt w nocy nie powrócił?

— Nikt.

— A z wieczora, nikt nie przyjechał, nie przyszedł?

— Przypominam sobie, że jakiś mężczyzna w płaszczu, prawie równocześnie ze mną wszedł do kamienicy, od klasztoru Brygitek przybiegłszy.

— Jakiego wzrostu?

— Wysokiego. Twarzy widzieć nie mogłem bo ją miał zakrytą. Bardzo spiesźnie popędził na górę.

— To on! — zawołał Maleparta — to nieochybnie on! Mówisz że szedł od klasztoru panien Brygitek?

— Tak jest. Widziałem wyraźnie, że biegł ztamtąd.

— Więc ona u Brygitek, a on ją uprowadził.

Posłany ramionami ruszył, jakby mówił:

— Tego nie rozumiem.

Maleparta niespokojny i zamyślony przeszedł się po izbie.

— Głupim i stokroć głupi! — zawołał — drugim radzę, a sam sobie poradzić nie umiałem! Do tej pory nie wziąć od niej było transakcji sprzedażnej na dobra Intlandzkic, ani kwitu z tamtej sumy! Nigdy z takimi formalnościami odkładać nie było potrzeba do jutra. Teraz komplikują się rzeczy. Jeśli ona w klasztorze, znać mi chcą wytoczyć proces i starać się o rozwód! Nigdy nań nie zezwolę, nigdy! Ani na seperację! Nigdy! Przechodziło mi przez myśl, że ten wartogłówn uwiódł ją dla pięknych oczów i młodej buzi, byłbym im

w wówczas zaśpiewał co chciał odstępnego. Widzę że lepiej się biorą niżlim się spodziewał, ale czekajcie! I jam nie głupi! pretensje, na pretensje znajdziemy i zobaczymy kto lepiej wyjdzie.

I chwilę chodził milczący i znowu się odezwał po chwili:

— Kto by się tego nieszczęścia spodziewał, po tej niewinnej minie! Do kata, kobiecie, strzelbie i koniowi nigdy wierzyć nie można, powiada przysłowie; trzeba było słuchać, trzeba było mieć oko!

— Bieź waćpan, dodał szybko, do klasztoru pp. Brygitek i prezentuj się jakby od deputata Górskiego, żądając pomówienia z p. Paprocką. — Dowiemy się czy istotnie jest w klasztorze.

Dependent poskrobał się w głowę, wziął za zmokłą czapkę i opończę i zabierał się do wyjścia.

— Spiesz się tylko waszmość, bo na sądy czas, a ja przez te głupstwa nie opuszczę sesji.

Niecierpliwie do okna i od okna ku drzwiom chodząc, oczekiwał na powrót posłańca Maleparta, ale że z Grodzkiej ulicy do klasztoru kawał był drogi niemały, błoto wielkie, nie mógł tak prędko powrócić posłany. W dobrą godzinę dopiero przyszedł nazad.

— A cóż?

— Nic.

— Pytałeś o pauią Paprocką?

— Pytałem, i od pana Górskiego. Odpowiedziano mi, że nie ma żadnej pani Paprockiej w klasztorze.

— Trzeba było dodać, że wczoraj dopiero przybyła.

— Odpowiedziano, że nikt wczoraj nie przybył.

— Więc jej tam nie ma?

— Wedle wszelkiego podobieństwa.

Maleparta skrzywił się szpetnie i potarł suche i jeżące włosy.

— Tem lepiej, rzekł, tem lepiej: wziął ją więc dla swojej satysfakcji, i za to zapłaci mi co ja zechcę. Teraz tylko chodzi o dowody, że on, a nie kto inny mi ją wziął. To pewna, że nikogo nie znała, prócz niego, i wszelkie pozory.

To mówiąc i domrukując już niewyraźnie reszty, mecenas zbierał szybko papiery ze stolika, chował za nadrę i zabierał się do wyjścia na sądy.

— Wszak już czas być musi?

— Krzyż i laskę ponieśli na trybunał, gdy wracałem.

— A więc i wam czas. Idźmy.

To mówiąc Maleparta, ścisnął się wyszarzanym passem, przypiął karabele, nasadził czapkę na uszy, narzucił opończe i wyszedł — dependent za nim.

Gdy się ku ratuszowi zbliżali, zabiło trochę serce Maleparcie, bo przeczuł szyderskie wejrzenia i niemiłosierne badania towarzyszków; ale wpredce przyszedł do siebie, splunął i podniósłszy głowę, śmiało już wpadł na wschody. Jak tylko go spostrzeżono, wszyscy co stali w okolo stolika Prozorowicza, który opowiadał wczorajszą historję, rzucili się aby mu zajrzeć w oczy. Nie zmieszał się tem bynajmniej Maleparta, i jakby nie nie wiedział, pospieszył na górę.

A że nikogo jeszcze w sądach nie było, wedle zwyczaju, skierował się mecenas do izby ustępnej, gdzie na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej, wzięty od XX. Dominikanów, przed którym ciągle paliła się lampa. Tu siedzieli na ławach kilkunastu z palestry, śpiewając półgłosem godzinki o Niepokalanem Poczęciu. Niektórzy kleczeli i modlili się, inni chodzili rozprawiając coś po cichu, aby nabożeństwu nie przeszkadzać.

Maleparta rzucił się na ławę u drzwi i patrzył w podłogę, chmurny i zasepiony. Przez cały czas śpiewania godziniek nikt go nie zaczepił, ale zaledwie ostatnie Amen skołało, wnet wszyscy prawie zbliżyli się do niego.

— Dzień dobry.

— Moje służby powolne.

— Jak się waszmość macie?

— Jak zawsze.

— Chodzą tu jakieś wieści.

— Jakie wieści?

— Prawda to że waszmości żona uciekła?

Maleparta srogie wejrzenie wlepił w pytającego.

— Wolę że moja uciekła, niżby miała jak waszmości siedzieć i gachów do domu naprowadzać.

Wszyscy w śmiech serdeczny, a obrażony patron wziął się za kord, pokreślił wąsa i plunął.

— Waszmość mi przymawiasz? — rzekł. — Nie pytaj o to, co do waści nie należy, a pilnuj swego nosa.

— Pilnuj waść swego, abym mu go nie utarł raz na zawsze.

Od tych słów wzięła się zwada, ale jakoś rozproszano poważnionych, bo w tej chwili, gdy komplet na sali sądowej się znalazł, drzwi otwarto. Marszałek sesję otworzył i instygator, a za nim woźny, ogłosili że się rozpoczynają sądy, wszyscy rzucili się ku drzwiom, bo już poczęto czytać z rejestru sprawy; a każdy miał w tem interes, aby nie stracić wpisu sprawy w której attendował. Maleparta poszedł także z innymi na salę i rzuciwszy okiem po siedzących za stołem, postrzegł pana Stanisława Górskiego, najspokojniej patrzącego po przytomnych. bawiącego się rozdartem piórem. Oczy ich spotkały się i z tego wejrzenia przekonał się więcej niż kiedy mecenas, że się nie mylił posadzając deputata, którego wzrok szyderski cios mu w serce bolesny, bo upokarzający go, zadał. Wymógł jednak na sobie Maleparta, aby nie okazać poruszenia z alteracji i zdawał się cały zajęty sprawami, których wpisy z ust instygatora i woźnego leciały jak grad, *per non sunt*. Gdy nareszcie doszło do żadanego i oczekiwanego wpisu, ozwały się razem dwa głosy, attentujących i *immediate*, walka się rozpoczęła przez usta adwokatów. Mało jednak słuchał Maleparta, cały sobą i swoim położeniem zajęty, i tak się zadumał, że gdy przyszła i nań kolej stawiania, jak zwykle w najgorliwszej i zdesperowanej sprawie, musiano go ostrzedz o wywołanym z rejestru wpisie.

W jednej chwili zebrawszy myśli, spojrzawszy na papiery, Maleparta, jakby nic go nie dotknęło, nic nie bolało, ze zwykłą swoją przytomnością umysłu rozwinął obronę aktora. Wszyscy oczy nań mieli zwrócone, sądząc że się wyda w czemkolwiek z niespokojnością

wewnętrzna i osłabnie dnia tego; ale z wielkiem podziwieniem słuchaczy, nie stracił wymowy, ani zapomniał subtelnych swych argumentów. — Zwycięzko potem powiódł oczyma po sędziach i ustąpił od krtek.

— Do licha! — ozwał się deputat jeden do p. Stan. Górskiego — gdyby mi pies faworyt zginął, więcej bym pono go żałował, niż ten człowiek żony.

— Nie znacie go — odpowiedział Górski — on w duszy ma piekło niespokojności, ale tyle siły nad sobą i dumy, że nie pokaże jak cierpi. Co żony to mu pewnie nie żal, ale majątków jejności, które puścić z rąk będzie potrzeba.

W tej chwili zawołano na ustęp, raz, drugi i wszyscy poczęli się cisnąć do pierwszej izby, gdzie znowno posiadali na ławach, gwarząc, śmiejąc się, modląc, klócąc, a niekiedy szturchając nawet. Malowniczy był widok tej izby ustępnej, w której teraz większa część mecenasów i palestry odpoczywała, oczekując przywołania do sali i ogłoszenia dekretu.

Izba ta była mimo głęboko w murze osadzonych okien, dość ciemna, sklepiona, jedne tylko mająca wyjście, i obszerna, tak, że bez wielkiego ścisku mieścili się tu wszyscy wywołani na ustęp z izby sądowej. Na głównej ścianie przeciwko drzwi w framudze, wisiał w złocistej sukience obraz Matki Boskiej od XX. Dominikanów z procesją przy reasumpcji trybunału przyniesiony — przed którym wieczyście jedna a czasem i więcej lamp się paliło. To nadawało komnacie pozór kaplicy, choć zresztą niepodobna do niej była wcale. Do koła stały dębowe i kamienne ławy, zajęte przez zręczniejszych, reszta chodziła i zbierała się w kupki, naradzając, opowiadając, umawiając. Tu byś postrzegł twarze owe, jakie dziś chyba na starych zobaczysz obrazach, wygolone wysoko głowy, podstrzyżone pod linią włosy, ogromne spuszciste wąsy, oblicza blade i surowe, twarze uśmiechające się i pogodne, oczy wygasłe od pracy, zaczerwienione od biesiadły, lub zmrużone szyderskim uśmiechem. Ci ludzie, co w ręku swoim mieli prawie szafunek sprawiedliwości, bo mieli

wykład prawa, wszyscy prawie senatorskiej powagi postawami ozuajmowali potrzęcym, że coś na świecie znaczyli i czuli swoją dostojność. Niewielu tylko z nich, kobuzich, fałszywych, drgających oczu, pochyłonych pleców, niespokojnych ruchów mieszało się z tym tłumem charakteru i powagi pełnym. Młodszy widocznie z pewnem uszanowaniem i prawie bojaźnią obchodzili się ze starszymi. Dawnych czasów, wielki rygor rodzicielski wpajał w młodych poszanowanie dla wszystkich starszych, bodajby nieznajomych. Tu zaś młodszy, uczniowie, sposobiący się pod okiem ich, patrzali jeszcze jako na sławnych nauczycieli, na starych mecenasów.

W tej ciżbie Maleparta sam jeden siedział na ławie u drzwi i dumał głęboko. — Nikt się już do niego nie przybliżał, nikt go nie zaczepił, ale w gromadkach rozmawiających tylko o nim była mowa. Puszczone się w najdziwniejsze domysły.

Niekiedy wśród tej wrzawy dolatywały jego uszu urwane wyrazy z opowiadań, których przedmiot odgađywał łatwo. Jego to jednak nie poruszało bynajmniej, cały był zajęty, nie strata ąony i wstydem jej i swoim, ale prawdopodobnym uszczerbkiem na majątku — kombinował, jakimby sposobem mógł przy nim zostać; reszta nie obchodziła go wcale.

Gdy tak dumał, zbliżył się do niego pomocnik, co noc i dzień biegał na zwiady i oddał mu karteczkę. Spojrzawszy na nią poczerwieniał Maleparta i spytał żywo posuwając się:

— Kto ją przyniósł?

— Jakiś chłopiec oddał ją na wschodach któremuś od palestry, i odszedł.

— Nie widziałeś go?

— Nie widziałem.

— Idź sobie.

Maleparta usunął się ku oknu i zaczął czytać. Kartka, jak się łatwo domyslić, była od ąony; w niej ona donosiła mu, że sama dobrowolnie, bez niczyjej pomocy, uciekła z domu, nie mogąc znieść srogiego obejsia, i udała się do klasztoru, w myśli pozostania

w nim, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej do jakiegoś czasu. Dodawała, że wiedziała o majątku na nią przypadającym, o funduszach jakie mieć była powinna i chciała je odzyskać, aby je rozpisać kościolom i klasztorom, zapewniając tylko sobie przyzwoite utrzymanie do śmierci. List Rózi nie zawierał wymówek i gróźb, spokojne tylko wyznania. Zgniółł go w rękę przeczytawszy mecenas i wrzucił w kieszeń, a że nie miał już co robić na sądach, zabierał się do wyjścia.

Zastąpił mu drogę jeden z palestry, jeden z tych co najdalej byli zawsze od Maleparty i których on instynktowie za nieprzyjaciół swych uważając, nienawidził. Zdziwił się niepomalu, postrzegłszy że ku niemu zmierza pan Zawada i pozostał w miejscu.

Pan Zawada mógł mieć już dobrze lat sześćdziesiąt, włos mu siwiał na głowie, ciało nabrało otyłości, twarz spoważniała; ale mimo to krzepki był jeszcze i rześwy. Oczy świeciły spokojnym ogniem życia, usta się pogodnie uśmiechały, a na białej mozo do zbytku twarzy, prawie młodzieńczy wykwitał rumieniec. Z familji prawników sławnych, majątny, ale skromny w sposobie życia; umiarkowany we wszystkim, łagodnego charakteru, Zawada był jednym z tych ludzi prawych, o których prawości nikt nawet nie wątpi. Żaden wypadek go nie mieszał, żadna okoliczność nie trwożyła, póki mógł dawał sobie rady, gdy ratunku nie widział, resztę spokojnie na Boga zdawał. Był bowiem po staropolsku pobożny. Wcześniej żonaty, miał liczną familją i żył patryarchalnie. Dom jego odznaczał się najściślejszą obserwancją praktyk religijno-narodowych. Posty, modlitwy publiczne, jałmużny, odbywały się tu jak najściślej w pewnych czasach i godzinach, i nikt z familji od nich wolnym nie był. Obchodzono święta, wigilje: odprawiano nabożeństwa, rekolekcje, medytacje prawie po klasztorne. I w sercach tych ludzi, nie tylko w ich uczynkach, na ich ustach, była wiara; było szczere staranie o doskonalenie siebie, o podniesienie się moralne; a pan Zawada spoglądał na świat tem wejrzeniem chrześcijanina, filozoficznem, spokojnem, co

się niczemu nie dziwi i niczem nie przeraża. Łatwo pojąć jak Maleparta musiał czuć wielki wstręt do szanownego i szanowanego Zawady; jak Zawada musiał unikać tego, którego pospolicie nazywano adwokatem djabelskim. A jednak we drzwiach ustępnej izby, na wychodnem, zaczął Zawada Malepartę, milym swym i łagodnym głosem prosić go na słowo.

— Jestem do usług wielmożnego mości pana — rzekł z przyciskiem wyzwany. — Co mi rozkażecie?

I oczyma iskrzącemi usiłował wcześniej przeniknąć do duszy tego człowieka, którego daleko niższym od siebie uważał, bo daleko muiej wprawnym i zręcznym.

— Pierwszą myślą Maleparty było, że pan Zawada uznawszy uareszczie jego wyższość, choć nigdy go na konferencje nie wzywał, teraz w rozpaczliwym razie myśli się go radzić.

— Możemyż tu pomówić swobodnie? — spytał Zawada.

— Dla czego nie? Chodźmy do okna.

— Może waszmość nie masz czasu?

— Mam go zawsze, gdy potrzeba.

Usunęli się do okna. Zawada widocznie kłopotał się od czego miał zacząć, pocierał czoło chustką i odkasliwał. Maleparta brał to za znak konfuzji, gdy to była tylko delikatność pocziwego człowieka.

— We własnym to pańskim interesie mam mówić do niego — ozwał się mecenas po chwili.

— W moim?? — zakrzyknął Maleparta i zmierzył oczyma pogardliwie pana Zawadę, który w tej chwili ukazał mu się dopiero antagonistą, a tak dalece nízkie miał o nim wyobrażenie, że nie dowierzał jak on ośmiewał się stawać z nim i mierzyć.

— Słucham — dodał szydersko po chwili. Pan Zawada otarł pot z czoła.

— Nie potrzebuje mu robić wyvodu sprawy i opowiadać o funduszach wdowy ś. p. Mrozickiej, które prawem natury spadły na jej córkę, a żonę wielmożnego mości pana — odezwał się Zawada — znasz je pan lepiej odemnie. Chodzi o to, czyli wielmożny pan

choć maż, i jako maż, miał prawo całkowicie zagarnąć dochody żony, nie z onych jej nieudzielając, i czyli w razie separacji zgodzisz się, bez procesu i próżnego szkalowania przed kratkami, dobrowolnie rezygnować żonie co jej jest własnością. Nie chcę wchodzić w przyczyny separacji i zupełne niepodobieństwo zgodzenia się w pożyciu, gdyż sądzę że i sam wielmożny pan przekonałeś się, że żona jego nie do takiego życia była przeznaczona i wychowana.

Maleparta wysłuchał zagajenia spokojnie i spytał nieporuszony :

— Pozwolisz wielmożny pan spytać, kto mu powie-
rzył ten interes do traktowania?

— Sama aktorka.

— To być nie może.

— Zrobię wielm. panu uwagę — podchwycił Zawada — że co człowiek uczciwy upewnia, to nie tylko być może, ale być musi.

— Zrobię też nawzajem uwagę waszmości — rzekł porywczo Maleparta — że człowiek taki jak wy, mecenasie, nie podejmuje się interesu gorszącego między mężem a żoną, interesu zaburzającego spokojność.

— Poniekąd masz waszmość słuszuosć, rzekł Zawada, ale coby było w innym razie zgorzzeniem, tu niem nie jest. Zmuszony jestem powiedzieć, że całe miasto wie jakoś wielmożny pan obchodził się z żoną.

— Wszakżem jej nie katował, nie bił? — zawołał Maleparta.

— Możeby łatwiej zniosła rany i bicie, niż tę obojętność, nieufność i rekluzją, niż wreszcie niedostatek.

— Wziąłem ją ubogą i nie miałem obowiązku.

— Odzyskałeś wielm. pan tak znaczną substancją po niej.

— Odzyskałem, prawda — zawołał Maleparta — alem na tę sprawę zależała, przedawnioną, bez nadziei, wysypał swój fundusz cały, a jeśli windykowałem mienie żony, to nie bez ostatecznego na to wysiłku.

— Co się tycze kosztów prawnych, o tyle o ile się one wypróbować dadzą, kwestji nie czynię — rzekł

Zawada — należą mu do zwrotu, wreszcie kilkoletnie prowenta.

— Prowenta z prawa należą do męża — rzekł Maleparta.

— I oto kwestji nie ma. Ale porachowawszy wszystko, reszta majątku.

— Ja nie żądam separacji i nie myślę o żadnym zwrocie — rzekł Maleparta.

— Dozwolisz więc na gorszący proces, któren z bólem serca będzie musiała przedsięwziąć żona, a w którym okazać się mogą przeciw niemu takie rzeczy, co go wieczyście na opinji zgubić mogą.

Maleparta gorzko się uśmiechnął.

— Na opinji! — rzekł — alboż mam opinją? Żartujecie, miły panie! Ja nie mam nic do stracenia prócz majątku, i dla tego może właśnie nie puszcze go nigdy, bronić będę do ostatniego tchu piersi, do ostatniej krwi kropelki. Wyszedłem jak wiecie z hołysza na czołwieka, poszczyściło mi się na majątku, ale na sławie, pożał się Boże: muszę się więc trzymać tego co mam.

— Każdy to zyskuje, o co się stara — dorzucił sentencyjnie Zawada. — Nie mam nic więcej do powiedzenia waszmość panu, prócz życzenia mego, aby się to lepiej zgodnie i po cichu skończyło. Sama historia ożenienia, gdy wynijdzie za świat, nie mało wielm. panu zaszkodzi, a kto wie, czyli...

— Nie straszcie mnie, miły panie — rzekł Maleparta, potrząsając ręką. — Nie łatwo się złękne! Matka była świadkiem, matka przy córce mieszkała, nigdy przez lat tyle protestacji nie było: rzecz to zapomniana i skończona.

— Skończona niezawodnie, zapomniana niezupełnie.

— A cóż mi szkodzi że o niej pamiętają? — podchwycił Maleparta. — Mam świadków, że przy ślubie gwałtu żadnego i siły użytej nie było: że wszystko się stało z dobrej i nieprzymuszonej woli.

— A zatem, nic waszmość nie uczynisz dla żony?

— Nic, bo rozwodzić się nie myślę, separować nie chcę, na żadną rozłąkę nie zezwalam i prawnie dopo-

minąć się o nią bede gdziekolwiek była.

Zawada po chwili namysłu i milczenia skłonił się Maleparcie i wniósł w tłum, gdy ten niespokojny chwycił go za rękę.

— Powiedzcież mi przynajmniej, gdzie jest moja żona?

— W klasztorze.

— W którym?

— Nie widzę potrzeby oznajmowania wam o tem, i nie jestem upoważniony do tego.

— Przecież, gdy jest w tak pewnem miejscu — rzekł Maleparta z przyciskiem, — nie ma niebezpieczeństwa, choćby o tem wiedział.

— Dowiesz się pan o tem jeszcze. — To mówiąc Zawada odstąpił, a mecenas nasz szybko popędził ku drzwiom i pobiegł na wschody, nie zważając na śmiechy, drwinki, szeptu i ukazywanie palcami, których był celem. Ze złością w sercu pospieszył do domu, a za nim nieodstępny dependent.

— Słuchaj — rzekł gdy szli w ulicę i opodal od ratusza — idź z kolei do wszystkich klasztorów i pytaj od p. Stan. Górskiego o p. Paprocką. Dowiedz się gdzie jest, dostaniesz honorarjum. — Dependent wytrzeszczył oczy, kiwnął głową, zawrócił się z miejsca i pobiegł w miasto. Maleparta z poplątanemi myślami i pierwszy raz może w życiu niespokojny, poruszony do gruntu, udał się do domu.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz rano, Maleparta, któremu posłany mimo obiecanego honorarjum, żadnej wiadomości o żonie nie przyniósł, przechadzał się widocznie niespokojny po izbie. Ubrany był jak do wyjścia, chociaż tego dnia wiadziano z pewnością że sesji nie będzie, bo kilku deputatów leżeli w łózkach po pijatyce zabójczej u marszałka, którego imieniu pełnemi pułkami do białego dnia obchodzono.

Pozamykawszy izby na klucze i zostawiwszy zwykłą straż w domu, Maleparta wyszedł na ulicę i szybkim krokiem skierował się mimo ratusza ku poważnej krakowskiej bramie i tak zwanemu Krakowskiemu przedmieściu. Nie było ono wówczas ani podobnem do tego czem jest dzisiaj, i oprócz kościoła z blizkim cmentarzem św. Ducha, po nad samą drogą się ciągnącym, obie strony nie bardzo obszernej ulicy zastawione były domami różnych kształtów i różnoczesnej budowy. Domostwa jedne kilkopiętrowe ze spiczastemi dachy, drugie niskie z niedokończonemi wierzchy, murowane i drewniane, ciągnęły się nie ze wszystkiem nawet pod linją. — Między niemi były przerwy, w których z zaparkanów wyglądały ogrody zielone, rozpoczęte budowy, mizerne i wałące się chatki. W porządniejszych kamienicach na dołach były sklepy z wywieszonemi znakami, kramy sukienne, korzenne, żelazne, dostojnych mieszczan lubelskich, sławnych swym handlem przed czasy. Gdzieś tam pod zieloną wiechą winiarnia, pod blaszanemi talerzami balwierz, pod winnikiem łaźnia, pod nożycami postrzygacze i krawcy, płatnierze, zbrojownicy i t. d. i t. d.

Ruch w tej ulicy był wielki, bo na niej po większej

cześci były gospody deputatów trybunalskich i mieszkania przyjezdnych na trybunał obywateli.

Przebiegł nie podnosząc oczów tę ulicę całą Maleparta, i nie zastanowił się aż przed murowanym pomnikiem z tablicą kamienną, świadczącą o akcie Unji Litwy z Koroną, doszłej w Lublinie. Pomnik stał właśnie przed kościołem i klasztorem księży Kapucynów. Maleparta zawrócił się ku furcie, tuż pod kościoła będącej. Nie oglądając się i nie zachodząc do kościoła, w którym właśnie msza ranna się odbywała, pospieszył on posepuemi lecz czystymi korytarzami w głąb klasztoru, i trafił wypadkiem może do refektarza. — Ogromny stół dębowy zajmował środek jego, na ścianach wisały poczerniałe obrazy, a w kącie niezmiernej wielkości piec, ławami ostawiony, najważniejszy sprzęt jadalnej izby składał. Piec ten ogrzewał nie tylko refektarz, ale nad nim znajdujące się cele ojców, nieopalone w zimie i tylko wyziewem z refektarza, przez usunięte deski pułapu wychodzącym, nieco ocieplane. Tu Maleparta spotkał braciszka myjącego stół i ławy.

— Nie będziecie łaskawi ukazać mi celę ojca Józefa? — spytał.

— I owszem — odpowiedział braciszek — pójdziemy zaraz, ale nie wiem czy go zastaniecie, podobno na mszy.

— Poczekam na niego.

Braciszek wstał z ziemi, otarł ręce i w milczeniu powiódł Malepartę na górę. Drugie drzwi z brzegu ukazawszy, pokłonił się i odszedł.

— Może zamknięta cela?

— A pocóż by ją zamykał! — rzekł braciszek — nie ma tam co wziąć, nie ma czego zamykać!

Maleparta pokręcił klamką i znalazł się w ciasnej, o jednym oknie sklepionej celi. Chciał usiąść i ledwie wynalazł stołek twardy, bez poręcza, na którym jakkolwiek się umieścił, oczekując ksiedza. Tymczasem mógł obejrzeć celę ojca Józefa i ciekawem po niej powiódł okiem, tak nowe i niepojęte było dla niego to

życie, w którego wnętrze z blizka pierwszy raz poglądał. Spodziewał on się, słysząc raz wraz szyderskie o wygodnem życiu mnichów przycinki, znaleźć tu ślady jakichś wygódek i wymysłów. Zdziwił się nie nie widząc nad gołe poczerwiałe ściany. Na nich wisiał obrazek św. Józefa z dzieciąciem boskiem na reku, obrazek naiwnie pojety i naiwnie wykonany, w którym napróżno szukać było rysunku i kolorytu; a jednak był serdeczny i wielki wyraz, była prawie macierzyńska troskliwość w starcu, co zdał się chuchać na ukochane dzieciątko. Drugi był obraz św. Franciszka, odbierającego stygmata, równie naiwnie odmalowany, i z równem uczuciem. Wyciągnięte rece świętego, podniesione ku niebu oczy, musiały wymodlić, wyblagać tę szczególną oznakę łaski niebieskiej. Drewniany, grubo wykrzesany krucyfiks wisiał u głów łoża, składającego się z kilku deszczek, pokrytych jedną sztuką sukna grubego służącego za posłanie, druga będącą pokryciem zapewne. Poduszka cieniutka sukienna, sianem wypchana, leżała widocznie nietykana.

W kątku stał dzban od wody, kubek drewniany i czarna gliniana misa. — Kilka książek zajmowały małą na sznurkach wiszącą półeczkę, a jedua rozłożona była na stolicku w głowach łożka. Nic zresztą więcej, nic zupełnie! Żadnego schowania, żadnej kryjówki, co by większe w sprzętach i wygodach ukrywać mogło bogactwo. Tylko na oknie, co na południe wyzierało, śmiały się wśród tej surowo obnażonej celi wazoniki z kwiatkami. Były tam gwoździki rozkwitłe i róża pączkami okryta, starannie pielęgnowana i zwrócona ku słońcu. Kwiatki te wydawały się dziwnie i sprzecznie w tej maleńkiej, smutnej i ogołoconej ze wszelkiego ziemskiego zbytku celi. Był to jeden niewinny jej zbytek, jeden sprzęt co zwiastował, że mieszkaniec jeszcze się nie zupełnie z myślami ziemskimi rozbratał. A gwoździk i róża tak ślicznie okryte były zielonością, tak bujnemi pączkami, jakby je nie ręka Kapucyna, ale piętnasto-letniej dziewczeczki pielęgnowała.

Tych kwiatów, tego niewinnego przywiązania, zu-

pełnie nie pojął Maleparta, jak nie pojmował wcale życia takiego, jak nie wyobrażał sobie, aby w niem wytrwać można. Rzuciwszy okiem po celi, nśmiechał się niedowierzająco, szydersko, a jednak to życie które oglądał ciekawie u samego ogniska, czyniło go niespokojnym i swoją pogodą niepochmurnoną zadawało kłamstwo całemu jego życiu, wszystkim staraniom, pracom i zabiegom.

Długi kwadrans upłynął, nim ojciec Józef, którego po mszy świętej modlił się jeszcze w kościele, nadszedł do swojej celi. Maleparta miał czas podumać, ale w tym człowieku wszystkie myśli zwracały się wkrótce do siebie i ogniska z którego wychodziły. Począwszy więc o ojca Józefa, skończył na sobie i swoim położeniu.

Z ojcem Józefem znał się Maleparta od dawna. Włócząc jeszcze, gdy zebrał, widywał go u furty, chodząc tam po pokarm rozdzielany regularnie kilka razy w tydzień przez ojców kapucynów. Ojciec Józef naówczas ulitowawszy się nad mizernem chłopięciem, wypytywał je o przeszłość, zaczął nauczać katechizmu i starał się, choć napróżno, wszczepić w zepsute serce wiarę. Ze wszystkich swoich dobroczyńców jednego tylko ojca Józefa nie zapominał jeszcze Maleparta, jednego jego widywał i mimowolnie szanował. Kilkakroć potem spotykali się, i ojciec Józef zawsze łagodniemi, ale stanowczemi wyrazy usiłował zatwardziałego grzesznika nawrócić. Napróżno! Maleparta nie wadził się, nie dysputował, ale nie otworzył serca na uczucie cnoty. Występek mu zasnakował a ręka boska jeszcze nie spadała ciężkiem brzemieniem na niego.

— Bóg dobry — mówił w duchu ojciec Józef — prędzej później otworzy ślepemu oczu a blask prawdy.

Gdy tak duma Maleparta, drzwi się otwały i kapucyn, chwilę zastanowiwszy się na widok gościa u siebie, wszedł krokiem powolnym.

Starzec to był siedmdziesiątkilkoletni, z długą siwą brodą i zupełnie łysą głową, białej i rumianej twarzy, niebieskich i łagodnych oczów, ust różowych. Znać było na nim życie spokojne, umiarkowane, szczęśliwe,

niezem nie zamącone. Czoło jego świeciło pogodą, którą daje tylko Bóg sługom swym ulubionym, całe oblicze miało ten blask młodości, tak rzadki u starców i tak dziwnie piękny. Ojciec Józef z zamkniętymi czy otwartymi usty zdawał się ciągle błogosławić tylko. Mimo podeszłego wieku nie miał zmarszczek na twarzy, prócz tych, które zostawił wryty w nią łagodny uśmiech. Chudy lecz krzepki w sobie, wysokiej postawy, obojętnego by nawet obrazem dziwnie pięknej starości zastanowił, starości, co przy powadze wieku miała jakiś wdzięk dziewictwa i młodości.

Na twarzy kapucyna nie było wyrazu smutku, surowości, zamyślenia, jaki zwykle daje samotność i klasztorne życie — owszem jaśniała w niej pogoda, spokojność duszy i wesele nieziemskie.

Jak tylko ujrzał i rozpoznał gościa ojciec Józef, podszedł ku niemu z otwartymi rękoma.

— Jakże mi się miewasz, mój zatwardziały grzeszniku, zawołał, i czy cie Bóg natchnął skrucą i żalem za grzechy, żeś aż sam do mnie przyszedł?

Maleparta się mimowolnie zmięszał, co w obliczu innych rzadko mu się trafiało, ale kapucyn miał coś w sobie tak wielkiego, tak prawie królewskiego przy całej swojej pokorze, że czysty tylko człowiek mógł wytrzymać jego wejrzenie nieporuszony i spokojny.

—Przechodząc mimo klasztoru — rzekł Maleparta — wspomniałem o was i przyszedłem tu dowiedzieć się o zdrowie. A może, dodał ciszej, mam i prośbę do ojca Józefa.

— Za troskliwość o moje zdrowie Bóg ci zapłaci — odpowiedział kapucyn — siadajże, duszo moja i rozgość się jako sam chcesz. Nie mam cię czem przyjąć, prócz dobrem sercem; siadajże proszę, choć na tym jedynym i nie bardzo wygodnym stołku. Jakże tam u was na świecie? Słyszać co nowego? co ciekawego? Bo my — dodał kapucyn wesoło — cośmy się ze światem rozstali, nie już nawet z niego nie wiemy. Nie ciekawiśmy, w ranach Zbawiciela świat nasz cały.

— Od kilku tu chwil oczekując na was, przerwał

Maleparta, oglądając waszą celę, chciałem pojąć wasze życie, i szczerze powiem, nie umiałem, nie mogłem. Ach! co to za srogie życie, jaka meka!

— Na Boga! nie mów tego kochanku — rzekł ojciec Józef — znać z tych słów żeś zatwardziały grzesznik i nie znasz Boga. Jest to, moje serce, najwyższe szczęście ziemi, takie życie jak nasze, najwyższa ziemi mądrość! Bardzoś się musiał, moje dziecko, upłatać w myśli ziemskie, gdyś nie pojął wcale jak my tu żyjemy. Świat wasz, to pole walki, kraina strachu nieustannego, niepokoju; to zaś port ziemski. I proszę cię — mówił dalej kapucyn — czyliż nie pojmujesz szczęścia człowieka, co nie ma nic do utracenia a niebo przed sobą?!

Maleparta spuścił oczy i przerwał:

— Ależ ta samotność, to zaparcie się wszystkiego ludzkiego?

— Samotność z Bogiem — rzekł ojciec Józef — lepsza niż towarzystwo najcenniejszych ludzi, a zaparcie się wszystkiego ludzkiego, to podobno, mój łaskawco, najostatniejszy termin mądrości, jakom mówił. Taki jest człowiek, że nie będzie wart wejrzenia bożego, aż z siebie starego Adama zrzuci. I — dodał wstając — spojrzycie na mnie a przekonacie się, że nie tak to srogie to życie klasztorne jak myślicie. Przy głodzie, chłódzie, na modlitwie, bezsenności, pracy, w tej sukni przeżywszy lat czterdzieści, widzicie jakem jeszcze czerstwy i zdrow. Wiele jest podobnych mnie na świecie przy wygodach i dostatkach? A dla czegom taki? Bom na duszy spokojny, bo nie mam nic prócz Boga w sercu i jednego habitu na grzbiecie, bo się nie frasuję o nic i nie wiele dbam o to, na co wysiły, zdrowie i spokój tyracie, a co, pożał się Boże, złamanego szeląga nie warto. Ale waść, moja duszo — rzekł kapucyn — mieliście pono do mnie jakieś żądanie, mówcie proszę, nie wiem czy potrafię wam w czem usłużyć, bo cóż może dla takiego jak wy, taki jak ja?

— W teraźniejszym mojem położeniu możecie mi być pomocnym — rzekł Maleparta — chcecie mnie

tylko wysłuchać cierpliwie chwilę. Wątpię żebyście wiedzieć mogli, żem i jakom się ożenił. Wziąłem ubogą naówczas dziewczynę, a razem z nią na kark mój jej matkę, kobiecie niegdyś bogatą, ale okolicznościami podupadłą. Windykowałem własnym funduszem znaczne dosyć majątności mojej żony, które ze szpon łakomych udało mi się dobyć. Oto, parę dni temu, jak żona moja uciekła z domu i skryła się w którymś klasztorze, starając się podobno o separację i domagając surowo majątności, którą chce nie wiem jako rozporządzić.

Przez cały czas mowy Maleparty kapucyn poglądał na niego spokojnie, z obliczem człowieka, którego nie zdziwić nie potrafi.

— Ale moje dziecko — przerwał w tem miejscu — spytajcie siebie naprzód, czyli nie macie na sumieniu przyczyny ucieczki żony?

— Zdaje mi się że nie mam nic na sumieniu i w oczach ludzi — odrzekł Maleparta. Obchodziłem się z nią zimno, to prawda, ale jej nie tknął, nie bił, nie katował, nie prześladował. Zamykałem ją, aleć to —

Kapucyn podniósł głowę.

— Jakkolwiek klasztor zamknięty i ludzkie języki nawet do niego się nie mieszają, powiem ci moja duszo, że nieco wiem o twojem obejściu się z żoną.

— No! więc sądźcie jako chcecie — rzekł Maleparta — nie powiem słowa więcej, ale proszę was, jest-li godziwa i do pochwalenia ucieczka?

— Nigdy — odpowiedział kapucyn,

— A więc możecie mi dopomódz?

— Jakże to —

— Żona moja jest w którymś z klasztorów, nie wiem tylko w jakim. Czybyście nie mogli trafić do niej i przekonać, że źle uczyniła i że nic jej nie pozostaje jak wrócić do męża?

— Mogę to uczynić — odpowiedział kapucyn — co więcej, moim by to było obowiązkiem; ale moja duszo, dodał, nie będziesz się nad nią mścić i znęcać gdy wróci? poprawisz się?

Ojciec Józef spojrzal w oczy Maleparcie, który pomieszany odpowiedział:

— Nie wiem jakbym się miał poprawić. Żona moja, muszę ją strzedz jako umiem.

— Ale nie przez to zamykać jak niewolnicę — rzekł kapucyn.

— Co się tycze pieniędzy — kończył mecenas — zobowiązę się wypłacić jej pewną sumkę, jeżeli tego koniecznie żądać będzie. Wiele nie mogę.

— Przyjdź do mnie jutro — rzekł kapucyn — postaram się ją wynaleźć. Daj Boże, aby to było z dobrem waszem wspólnem i na chwałę Bożą co uczynię. Kobieta, która chroni się do klasztoru, nie jest jeszcze występna i śnać nie mogła uczynić inaczej. — Przyjdźcie jutro rano, a rozmyślcie się nad sobą i poszukajcie w duszy, czyli tam nie znajdziecie winy. O! co bym nie dał, abyś się upamiętał i nawrócił.

To mówiąc powstał ze złożonemi rękoma kapucyn. Maleparta, który ten gest natchniony wziął za udanie, ruszył nieznacznie ramionami, i krótko pożegnawszy starca wyszedł.

ROZDZIAŁ III.

Przenieśmy się teraz na chwilę do kamienicy niedaleko Jezuickiego kościoła, zajmowanej przez jaśnie wielmożnego deputata Stanisława Górskiego, u której wrót widzimy naprzód zaciągającą wartę gwardji trybunalskiej, i ciżbę powozów i koni. Mnóstwo klientów, dworzan, jednoziemców, sług szlachty i sług nieszlachty kręciło się na dziedzińcu pełnym koni i psów. Pan Stanisław był jednym z tych możnych deputatów, co dla honoru i w nadziei łaski może wybierani bywali. Wiódł on do Lublina jeden z najwystawniejszych dworów, miał husarzów, kozaków, dworzan, słuźalców poczet nie mały. zwiększony jeszcze masztalerzami i psiarzami, co za nim z końmi i psy do Lublina ciągnęli. Na ładownych wozach szła kuchnia i część piwnicy, antenatów srebra, makaty, obicia i cały sprzęt potrzebny do ubrania domu; kilku kucharzy z kuchmistrem Polakiem na czele, mieli za sobą zgraję kuchtów. Nie policzyć co tam było niepotrzebnych ludzi, jedynie może na to utrzymywanych, aby dwór okazańszym i liczniejszym czynili.

Pan Stanisław. człowiek młody jeszcze, urodziwy, charakteru szlachetnego, mężny, otwarty, gościnnie i wspaniały aż do rozrzutności, miał tę słabość. że lubił się otaczać ludźmi, których śmiejące się na rozkaz pański twarze sercu jego widać były potrzebne. Niczyj dwór, niczyi ludzie nie byli tak weseli, zadowolnieni. szczęśliwi, jak dwór i ludzie pana Stanisława. U nich drzwi nie stało tylu ubogich, nie czekało tylu suplikantów z prośbami, nie kłaniało się tylu przemyślnych oszustów. A nikt od tych drzwi nie odszedł markotny, zawiedziony, smutny. Pan Stanisław lubił świad-

czyć i nie potrafił odmawiać, choć czasem wiedział że dawał niegodnemu. — Pan Bóg, powiadał, zważa na datek, nie na ręce co go biorą. — I tak się z szafunku swych łask wymawiał.

Żonaty za młodu, prędko bardzo potem wdowiec, pozostawszy bezdzietnym i wolnym, pędził swój czas na posługach krajowi, na wesołych biesiadach, łowach i przejażdżkach. Lubił zgiełk i towarzystwo huczne, namiętnie przywiązany był do koni, do psów i całemi tygodniami polował. Odważny aż do zuchwalstwa, bo na dziesięciu się porwał zaczepiony, łagodny był jak baranek z przyjaciółmi i obojętnymi. Witał każdego grzecznością, podaniem reki, uśmiechem i tą staropolską uniżonością, co tak zaskarbia serca; ale nie zniósł najłżejszej przymówki, najmniejszego względem siebie uchybienia. Wielki obrońca nieszczęśliwych, uciśnionych, podupadłych, szafował dla nich sobą, mieniem swoim i czasem. Gdy chodziło o postugę dla brata szlachcica, nie wymawiał się nigdy, choćby brat szlachcic przyszedł w kurpiach i siermiedze prosić o nią.

Życie pana Stanisława było mieszaniną zabaw, hulanki, dobrych i świętych uczynków, szalu, swawoli i dobroczynności. Powiedzmy na jego pochwałę, że nie było zabawy, coby mu przeszkodziła do dobrego dzieła, i nie było towarzystwa, któregooby dla ubogiego nie porzucił. Z ludźmi sobie równymi najmiłszym był współbiesiadnikiem, najłatwiejszym z przyjaciół, najszczodroblivszym z towarzyszy. Robił co robili wszyscy i zawsze się zdawało, że czyniąc coś dla ludzi, czynił tylko dla swojego własnego zadowolenia. Nigdy nie odmówił niczyjemu wezwaniu do bitwy, do kielicha, do łowów, do gawedki, i potrafił zawsze bawić się z każdym i wszędzie. Nie postrzegłeś w nim próżności żadnej, bo się chętnie zniżał dla drugich, krył z majątkiem, z rodem, z zasługami, aby im nie uczynić przykrości. Nikomu zaś poniżyć się nie dal i na ówczas obrażony, aż nadto może stawał się dumnym.

Koło niego prócz zgrai wiecznie zmieniającej się a zawsze tłumnej suplikantów, biedaków, holoty, kręciło

sie zawsze kilku tak zwanych przyjaciół. Byli to niemajątni młodzi szlachta, których koniec końców wyprowadził pan Stanisław; czasem też i kolanem w tył odprawiał, gdy przyjaciel nieszlachetny okazał charakter. Obowiązkiem przyjaciela było towarzyszyć gdzie rozkazał pan Stanisław, bodajby w ogień, rozrywać go w samotności, dotrzymywać kompanji, spełniać wszelkie przyjacielskie usługi, chodzić z listami i poleceniami, a nareszcie i wybić sie nieraz za honor pryncypała w pałasze. Przyjaciele ugaszczali zaproszonych wyřeczając gospodarza, który sam nie pił, chyba zmuszony, i najczęściej w dowód affektu spełniał puhary zimną wodą.

— Do jednej rzeczy — mawiał Stanisław — przyzwyczaić się dla niczyjej przyjaźni nie mogę, to do wina. Wody wypiję ile chcecie, ale trunku nie mogę. — A gdy go poczestowano znajomym argumentem — albo bij, albo się bij — odpowiadał chwytając się za demeszkę i stając w gotowości. O czem wiedząc wszyscy, nie bardzo go już do kielicha wzywali.

W dziedzińcu kamienicy, w której kwaterował pan Stanisław, znać było, jak to mówiono, pana po cholewach. Rżały konie, ludzie się śmieli, psy czekały, ptaki myśliwe dzwoniły, pazikowie swawolili, strzelano do celu, ostrzono pałasze i wytaczano precz wypite beczki wina, w których tylko lagry zostały. Niekiedy kucharz w białej szlafmycy ukazywał się biegnąc ku kuchniom gorejącym dzień i noc bez ustanku. Przy stajni mastalerze i kozacy grali w kości, dalej służba w tłuste karty cięła się w družbarta, dalej jeszcze w przedpokoju grali pokojowi w ćwika, grali i panowie na pokojach w różne gry nowo wprowadzone. Inni harcowali na koniach, inni szli o zakłady do celu.

Ruch, wesołość i wrzawa były wszędzie.

Izby, pomimo nieporządku jaki w nich panował, bogato były przystrojone i dostatek widny był po nich. W pierwszej dwór się zabawiał, dalej goście z gospodarzem. W ostatniej komnacie pana Stanisława było jego łóżko i ulubiony sprzęt. Ogromne psisko wylegi-

walo się przed kominem na lamparciej skórze, drugi na łożku zastanem atlasową koldrą. Po nad niem rozpięta była zlocista makata, cała zawieszona bronią, której stopy stały także po kątach, wisiały po ścianach, leżały do kola. Był tam nie mały dobór prostych i krzywych, skromnie i bogato kutych szabel, strzelb turrockich, pistoletów różnej długości, rusznice, krucie itd. W głowach stała na lasce oprawna staroświecka siekierka. Na stole, okrytym suknem zielonem, leżały księgi pyłem pokryte i jedna mała otwarta. Ta ostatnia do codziennego służyła nabożeństwa.

Obok leżało bogatych kilka sprządek, zegarków, łańcuchów, pudełeczek, pierścieni. Były to wyraźnie rzeczy na podarki przeznaczone, gdyż pan Stanisław nie przyjmując od nikogo, dawał je gęsto i nie mało.

W pobliskiej komnacie, na której kominie palił się ogień wysmienity, siedział w tej chwili zadumany przeciwnik swemu zwyczajowi pan Stanisław. Obok niego nieodstępni towarzysze w milczeniu stali, jeden przez okno w dziedziniec poglądał, drugi strzepił koniec pasa. Byli to przyjaciele gospodarza, panowie Szczuka i Pękosławski. Pierwszy z nich poczciwy i serdeczny człowiek i prawdziwy przyjaciel Stanisława, co by się za niego dał zabić i w sztuki porąbał, drugi z zatraconego już gatunku pieczeniarczy.

Pękosławskiemu chodziło li tylko tyle o serce pana Stanisława, o ile serce pana Stanisława dawało jeść i pić; czuł pan Jorzy, że się za to wysługiwać było potrzeba, ale nie lubiąc się narażać, pracować, chodzić, mozolić, i kochając nadewszystko ciepły kąt i pieczenie, obrał sobie szczególny sposób wywdzieczania patronowi swemu. Miał sobie za obowiązek być zawsze w dobrym humorze, podkpiwać i bawić go. Uśmiechał się na rozkazy, żartował, błaznował, a wszystko to tak zręcznie, że i bawił razem i pochlebiał panu.

Gdy chodziło o inną jaką usługę, okazawszy naprzód gotowość zupełną, kończył uznając się pokornie niezdatnym do niej i wysyłał pana Szczukę, który zawsze rad był biedz gdzie zażądał pan Stanisław. Tymczasem

Pekosławski zostawszy przy panu, szyl nieraz buciki nieprzytomnemu. I gdy pocziwy Szczuka nadstawiał szyi, njadał się, gardłował, pan Jerzy Pekosławski siedział w kącie, blaznował i pozwalał sobie nawet z towarzysza podkpiwać; tak powoli wkradał się w łaski pana Stanisława, rugując z nich współzawodnika, i to najbezpieczniej, bo nie ruszając się z miejsca. Ale że Szczuka pocziwy blaznować nie lubił, gęby nie miał aby swoje czyny wysławiać, nie poniżał się i nie pochlebiał, zrobiwszy co, cicho siedział, a za małą zawsze rzecz miał co uczynił, łatwo było ubiedz go panu Jerzemu.

Znal go może w gruncie Stanisław, ale zamykał oczy na jego podłość, bo Jerzy go bawił i był mu potrzebny miasto malpy lub papugi. I tacy ludzie mają czasem swoją wartość i użyteczność.

Siedział, jakeśmy powiedzieli, gospodarz przeciw komina. pan Szczuka pas strzepił, a Pekosławski oknem wyglądał; po chwili milczenia odezwał się ostatni:

— Bestja nie kozak ten Didko, zmiata kuchcików, co mu się czegoś sprzeciwił, jak gałęzie z drogi! O! sławny wojak. narobiłże bigosn w kuchni.

Pan Stanisław jakby nie słyszał. Pekosławski obejrzał się, chrząknął i począł z innej beczki.

— Horda czegoś kuleje, musiał go spędzić wczoraj kozak.

Pan Stanisław milczał jeszcze — Pekosławski wzruszył z lekka ramionami, a po chwili milczenia znownu bąknął:

— Nie zawolaćby kozaczka, aby jegomości zagrał na torbanie, bo coś chmurno na czole?

— Daj mi pokój — odpowiedział pan Stanisław.

— Oto i pana Szczukę zarazileś jegomość markotnością, stoi i pasa ze wszystkim wystrzepi, niepomnając że to może najlepszy i ostatni.

Pan Szczuka spojrział na Pekosławskiego a pan Stanisław na Szczukę.

— Co tobie kochanku? — spytał.

— Nic; to się panu Jerzemu przydało.

— Smutny jesteś czegoś?

— Miałbym prawo spytać o toż jegomości?

— Alboż nie wiesz co mi?

— To ten pies co wczoraj zdechl, ani chybi — zawołał Pękosławski.

Pan Stanisław ruszył ramionami — a Szczuka się znowu odezwał:

— Ani wiem, ani pojmuję, co to jegomości jest.

— A ja, kiedy nie o psa chodzi, to głowę daję, że do trzech zgadnę — zawołał Pękosławski.

— A no spróbuj! — rzekł odwracając się pan Stanisław.

— Teskno jegomości za polowaniem?

— To raz. Nieprawda.

— Albo za wybitą?

— To dwa. Nieprawda.

— Albo za kobietą? — dodał Jerzy po cichu śmiejąc się.

Pan Stanisław porwał się.

— Coś waść nadto mądrze zgadujesz!

— Albo nie prawda?

— Nie ze wszystkiem. Nie tęskno mi za kobietą, ale żal mi jednej.

— A to wszystko jedno.

— Nie jedno, bo gdybym jej chciał tobym ją miał, a żal mi jej tylko.

— To tak jegomość sam przed sobą kłamiesz.

Pan Stanisław może dla tego, że mu trafił w słabe miejsce pan Jerzy, porwał się namarszczony i krzyknął surowo:

— Wiedz waść, że ja nigdy przed nikim, nawet sam przed sobą nie kłamię!

Ale w chwilke dodał łagodniej: — Bądź pan Jerzy ostrożniejszy z językiem, bo ci go kiedyś obetne.

— Samem to zrobić gotów na rozkazanie waszmości — predko podchwycił Pękosławski, kłaniając się do kolan.

— No, dość tego i sza — rzekł Stanisław. I znowu się zadumał; po chwilce jednak jakby mu co ciążyło,

odwrócił się oczyma wyzywając towarzyszków do rozmowy. Pan Szczuka, którego zadumanie Stanisława niepokoiło, nie zdobył się tak skoro na słowo: obojętny a przebiegły Pękosławski zaraz niemy rozkaz spełnił i zawołał:

— Z pozwoleniem jegomości, czy wolno inkomodować o nazwisko tej kobiety o którą idzie?

— Waści ono do niczego — rzekł pan Stanisław — a do tego czuję że wiedzieć je mnsisz i próżno pytasz. Gdybyś zaś nie wiedział, nie powiedziałbym pewnie, bo masz język babski i nie sie na nim nie utrzyma.

— Z przeproszeniem — przerwał Pękosławski — co sie tycze mego języka, lepiej o nim trzymam. Co sie tycze kobiety, a kto tam wie o której jegomość myśli, gdy o tylu myśleć może? Czy o pani Przerebskiej, co słodkie oczy do jegomości robi, czy o wojewodziance, którą jegomości rodzice i krewni rają, czy o regentowej, którą sam mąż stręczy.

— Nie paplaj głupstw, proszę — zawołał Stanisław — nie lubie ich słuchać.

— Już milcze — dodał w chwili Pękosławski — dodam tylko, że gdybym wiedział o której jegomość duma, może by sie coś na smutek dopomogło?

Stanisław machnął ręką.

— Nikt na to nie pomoże.

— Do licha, więc chyba nie żyje! — zawołał Pękosławski.

— Tak sie to waćpanu zdaje?

— Ja tak trzymam o laskawcy i dobrodzieju moim, że nie ma kobiety co by go sercem pokochać nie miała, chybaby ślepa była i głucha.

— Cóż pomoże choćby pokochała? — zawołał Stanisław.

— Już dalibóg dalej nie rozumiem, i jeżeli to nie pomoże, cóż pytam?

— Daj bo sobie pokój, Jerzy.

— Juz dałem i sobie i jegomości, i dalej ani słowa o tem.

Gdy to mówili, otwały sie drzwi i dworzanin oznaj-

mił, że wielki tłum suplikantów antykamerę oblegał, cisnąć się do jasnie wielmożnego deputata. Stanisław choć nie był w humorze słuchania prośb, wyszedł jednak natychmiast.

Przedpokój pelen był wistocie różnego wieku i stanu suplikantów, ubogiej szlachty, żydów, mieszczan, żebractwa. z których jedni po większy, drudzy po mniejszy przychodzili zasilek; inni prosząc o protekcję w sprawach, inni podnosząc świadectwa jako pogorzeli i podupadli z liczną familją. Były tam i kobiety i starcy i dzieci. Sława bowiem dobroczynności pana Stanisława zwabiała do niego co było prawdziwie nbogich i biednych i co było oszustów. W tym tłumie odartusów i biedactwa łatwo było poznać po zuchwalszych minach, czerwonych nosach, białych ślepiach, karminazymem nakrapianych policzkach, wyszastaniem i wysmalonem po szynkach odzieniu tych spekulantów, co z profesji wyciągali rękę za każdą reasumpeją trybunału, zbiegając się po pewny obłów do Lublina. Od tej hatastry czuć było wódkę i swąd karczemny, gdyż ich gospody były pospolicie zapiecki żydowskie. Oni najkrzykliwiej, najzuchwalej domagali się jałmużny i oni najbezwstydniej liczyli ją na dłoni.

Nikt bez datku nie odszedł; powoli wypróżniała się izba i pan Stanisław już miał powracać do komina, gdy drzwi się otwarły i Maleparta wszedł do przedpokoju. Spotkały się ich wejrzenia i wypowiedziały wzajemną nienawiść. Pan Stanisław w chwili zmienił charakter twarzy; z łagodnego i smutnego, przybierając dumny i ostry. Mecenas miał na ustach swój szatański, szyderski uśmiech, skłonił się nisko i objawił żądanie, pomówienia słów kilka na ustroniu.

— Jestem na usługi — odpowiedział deputat z zimną obojętnością! — Siadajmy, słucham.

— Czy nikt nam nie przeszkodzi?

Gospodarz klasnął w dłonie, i do wchodzącego sługi zawołał:

— Nie wpuszczać nikogo — potem spartł się na łokciu o stół i zwróciwszy oczy ku oknu, gotował się słu-

chać cierpliwie. Ubodło Malepartę zimne, wzgardliwe przyjęcie, ale urazę pokrył i zaciąwszy usta, mówił:

— Mam maleńką prośbeczkę do jaśnie wielmożnego deputata.

— Słucham jej, słucham — niecierpliwie odpowiedział Stanisław.

— Przyszedłem do jaśnie wielm. pana, w interesie uproszenia łaskawej protekcji w sprawie, która się wkrótce przed trybunał wytoczy. Sprawa to gorsząca na nieszczęście: chodzi o wydarcie własności, a porywcą jest człowiek, którego wota publiczne na obrońcę własności, czci i mienia obraly. Jestem sam aktorem i sam patronem.

— *Ad rem* mecenasie, o cóż chodzi?

— O żonę, którą mi wydarto, zasadzając się na nią i na jej majątności razem; ale te nie tak mi łatwo będzie z rąk dostać!

Na te słowa pan Stanisław podniósł oczy, jakby spokojnie i dumnie wyzywał do dalszego opowiadania. Maleparta się zakrzuszył.

— W tej sprawie, dodał, proszę waszej protekcji: sprawa to trudna, bo przeciwko człowiekowi możnemu, skoligaconemu, wziętemu i na wysokim urzędzie; ale święta sprawiedliwość za mną i wszyscy poczciwi.

Przeciwko nadziei mecenasa, który szukał ozuaki pomieszczenia na twarzy pana Stanisława, deputat słuchał tego spokojny, zimny, dumnym wejrzaniem tylko odpowiadając.

— Sprawa ta nie wątpię — mówił Maleparta — wielką wzbudzi i powszechną animadwersją, w niej się okaże, jacy są u nas praw stróże i tłumacze.

— A zatem — przerwał Stanisław obojętnie — gdy się wytoczy, wedle prawa i sumienia sądzić ją będziemy, przyrzekamy tem solennie, że nigdy nie sądzim inaczej. — To mówiąc powstał, niby żegnając gościa, ale mecenas nie chciał odchodzić.

— Macie jeszcze co więcej do mnie? spytał deputat.

Mecenas bełkotał z gniewem, nie wiedząc co mówić dalej — i stał patrząc w oczy paunu Stanisławowi.

— A więc, żegnam was! — rzekł odwracając się i uchodząc deputat.

— Za pozwoleniem waszem — zawołał mecenas — gdy widzę że mnie rozumieć nie chcecie, muszę się wyraźniej tłumaczyć.

— Jakież być może jeszcze tłumaczenie?

— Porywcą mojej żony wy jesteście, panie, wydziercą mojej własności wy jesteście, rozbójnikiem...

Nie dokończył tych słów Maleparta, gdy na jego twarzy gorzał już odlewany policzek i Stanisław w chwili krzyknął na pp. Szczukę i Pękosławskiego. Mecenas rzucił się ku niemu z szablą, ale pochwycyony za obie ręce, musiał, pieniać się od złości, poprzestać na łajaniu.

— Myślicie, wołał, że na tem koniec, że się ustraszę, żeście mi tym policzkiem we własnym domu gębę zamknęli. Na wszystkich djablów nie! nie! Pokażę światu wasze sprawy, odkryje uczynki, wywiodę was na haniebny plac popisu przed kratki, oddam wam wasz policzek stokrotnie! Dla tego żeś ty możny, żeś znaczny, żeś sędzią, masz broić bezkarnie, masz bezbronych i słabych uciskać, cudzą własność wydzierać?

Mówił, aż póki obrażony Szczuka gęby mu kułakiem nie zatknął.

— Co z nim zrobić? — zawołał do paua Stanisława.

— Rozsiekać łotra! — zakrzyczeli nadbiegli dworscy.

— Zasieć łożami, wołali inni.

— Związać i oddać pod wartę, uiech odprowadzą do turmy, i sądzić z rejestru *Mandati Directi* niech da głowę — przerwał ktoś w tłumie.

— Cicho — zakrzyczał pan Stanisław. — Ukarany jest dosyć policzkiem za swoje szaleństwo, wywieść go za bramę i puścić jako warjata. Ani wiem, ani rozumiem czego chce odemnie.

— Nie wiesz! — nie wiesz! — zawrzeszczał Maleparta. — A kto mi żonę porwał? Kto ją podmówił? Kto mój spokój zamącił i mojemu mieniu grozi, pod-

mawiając ją do procesu, dając jej adwokatów, patronów i doradców, kto??

Pan Stanisław odwrócił się już odchodząc i dodał jeszcze :

— Wywieść go za wrota, krzywdy mu nie czyniąc i puścić wolno.

ROZDZIAŁ IV.

U bramy deputackiej kwatery wyrwał się z rąk dworzan Maleparta, i rwiąc włosy z głowy wybiegł jak szalony na miasto. Uniesienie zbyt uczucie go zgubiło i zawiodło gdzie się dojść nie spodziewał. Mało by go bolał policzek gdyby był potajemnie dany, ale sromota w obliczu tylu ludzi, ale języki ludzkie, co z tego wypadku uknąć mogły niewiedzieć jakie dziwne, ale skompromitowana sprawa cała!! Idąc do pana Stanisława sądził, że trafi na tem łatwiejszego, tem pokorniejszego, że do winy poczuwającego się człowieka; stało się przeciwnie. Chcąc wymódl na nim wyznanie, za daleko się posunął rozdrażniony, i zyskał tylko sromotne uderzenie, haniebne wygnanie z domu, a co najgorsza, wzgardliwe oswobodzenie, wówczas gdy się spodziewał gorszego więzienia, coby przynajmniej po policzku za nim mówić mogło. Wypchnięty sromotnie i nie pociągający do prawa za napad, jak się spodziewał, nie wiedział co począć, nie pojmował jak iść dalej. Chciał wyzwać Stanisława, i nie śmiał tego uczynić i wahał się, bo nową sromotę się lękał, odmówienia. Chciał nścić się, nie czuł się na siłach, bo myśląc odzyskać co stracił, postradał już cześć ostatek. Jak obłąkany leciał nie wiedząc dokąd i po co idzie: włosy w nieładzie, potargane odzienie, dobyta szabla, zwracały na niego wejrzenia wszystkich. Wzięto go za szalonego lub pijanego, i ci co rozpoznali w biegnącym Malepartę, pojąć nie mogli, co go z zwykłej obojętności wywiodło i do takiego doprowadziło szalu.

Nieprzytomny, uczuł się nagle schwytanym za rękę i wstrzymanym w biegu; podniósł już szablę i miał ciąć zajądło nie patrząc kogo, gdy głos znajomy trafił do jego uszu.

— Co ci jest? W imię Boże, człowiecze! Co ci się stało?

Tak mówił do uiego ojciec Józef, kapucynu, który stał przed nim i żegnał go krzyżem świętym.

— Upamiętaj się! dokąd lecisz? — Co ci się stało? człowiecze! Bóg z tobą!

— Co mi jest? zawołał Maleparta. — Co mi jest? Puszczaj! nie powiem, nie wiem, oszalałem! Czuje policzek na twarzy — chce zemsty!

— Bóg z tobą! zatrzymajże się choć na chwilę! Zemsta ci nie da spokoju; mów, co to jest? Gdzieś był?

— Nie mogę, nie mogę — zaryczał Maleparta — powtórzyć nie potrafię, odpowiedzieć nie umiem, wszystko stracone!

— Cóż się stało?

— Chodź do mnie.

— Nie powinienem cię opuszczać w takim stanie — odrzekł kapucyn, i wzięwszy pod rękę Malepartę, powiodł go szybko do jego domu. Tu padł na łóżko mecenas i chwilę bez przytomności leżał, pobladł straszliwie, dychał ciężko, nareszcie jakby ta burza powoli osiadać zaczęła i uspokajać się, coraz nieruchomszy leżał — pot tylko zimny kroplami występował mu na czoło.

Oczy obłąkane, przemknęły się, usta ścięły i powstał żółty, z wywróconymi rysami twarzy, ale na pozór spokojny.

Kapucyn widząc go uśmierzonym, powtórzył swoje pytanie.

— Powiedźże mi, co ci się stało?

— Mnie? nic! Zrobiłem głupstwo i odpokutowałem za nie — wyrzekł nareszcie zgrzytając zębami Maleparta. — Powiedz mi ty ojcie coś zrobił. Czy wyszukałeś moją żonę? Czyś ją nawrócił do powrotu?

— Wiem gdzie się znajduje — odpowiedział kapucyn, — ale dałem słowo, że tego nie wyjawię. Ona mi wyznała wszystko, i wiem dla czego od męża uciekać musiała. Uczynek to zawsze naganny, ale na ten raz może wybaczony.

— I ty to mówisz, księżę?

— Uderz się w piersi, człowiecze — rzekł kapucyn — a uznasz, że żyć z tobą nie mogła. Oderwałeś ją od całego świata i nie jej nie dałeś w zamian. Uczyniłeś ją niewolnicą, której tylko uragać lubiłeś: uczyniłeś ją w dostatkach nędzną. Blizką tobie była a zupełnie obojętną. Nie dałeś jej serca i tego nawet co psu, który wrot pilnuje, dają — łagodnego słowa. Bóg nie dał jej nadludzkiej, jakiej potrzeba było, cierpliwości. Mogłaż wytrzymać z tobą?

— Anim ją bił, anim katował — rzekł Maleparta — do ubóstwa była przywykła. Kochać nie umiałem, zmyślać miłości nie potrafię; mogła tak żyć, kiedy ja tak żyję, choć mnie nikt nie kocha i nikt dobrego nie da słowa.

— Ty to co innego, ależ to słaba kobieta — zawołał ojciec Józef — aleć to pieszczone dziecko, które matka przyzwyczaiła do nieustannej troskliwości, do kochania i do czułych starań.

-- Temci gorzej, księżę — odparł mecenas — temci gorzej; dzieci trzeba do złego wychowywać, nie do dobrego, nie do szczęścia, którego nie ma na świecie, ale do niewoli i niedoli! — Te słowa wyrzekł z gorzkim szyderskim śmiechem.

— Wszyscy się do niej rodzim — odpowiedział ksiądz Józef powolnie — ale Bóg rozkazał kochać bliźniego i pomagać mu dźwigać ciężar życia. Ufając w miłości chrześcijańskiej bliźnich, ludzie się wychowują do lepszego trochę niżby powinni losu. Co ty mogłeś wytrzymać, mój panie, temu ona nie podolała, nie miej jej tego za złe i daruj, jako chcesz aby ci twoje winy darowano.

— Kpię ja z darowania winy! — złośliwie zawołał Maleparta — a co sam to nigdy jej nie daruję! — To mówiąc uderzył o stół pięścią. — Nigdy! mogę i muszę udać że nic nie czuję, nic nie pamiętam, ale prędzej lub później!...

— Moje dziecię — rzekł kapucyn — zły duch cię obłąkał, upamiętaj się. Musiałeś doświadczyć wielkiej

przykrości; ulżyj sobie ciężaru, powierzając mi strapienie.

— Cóż ci powiem? — odparł mecenas — żem dostał w twarz przed chwilą od człowieka, któremu pierwszy raz w życiu się uniosłszy powiedział, com był powinien pomyśleć, nie mówić? Ot cała historia. — Dostałem w twarz a oddam w serce. O! oddam, chyba żyć nie będę.

— Człowiecze! szatan mówi przez ciebie! — Maleparta uśmiechnął się złośliwie szydersko.

— Gdyby był wasz szatan na świecie.

— Nie chcę słuchać bluźnierstw — przerwał ojciec Józef. — Odechodzę, niech się Bóg wszechmocny zlituje nad tobą.

— Ale poczekajże ojcie — zatrzymując go za suknię zawołał mecenas — powiedz mi, coż ci ona mówiła? Nie chce powrócić żadnym sposobem, i nie podaje warunków jakich?

— Prosi cię mojem i usty, abys ją w pokoju zostawił. Rozvodu nie chce, bo wie że co Bóg złączył ludzie nie rozłącza; i choć przysięga ta zagniona...

— Dobrowolnie! mam świadki — zakrzyczał Maleparta.

— Rozvodu nie chce — mówił dalej kapucyn — ale żąda na zawsze usunąć się do klasztoru a mienie swoje rozdać na ubogich i kościoły.

— To wy ją mnichy podmawiacie! — zawołał mecenas — ale niedoczekanie wasze.

— Słuchaj — rzekł kapucyn — wiesz, bo widziałeś co mam, więcej nad to nie potrzebuje. Naszemu zakonowi bogatej nawet nie wolno przyjąć jałmużny, i dla tego miedzią tylko brać ją możemy. Podmawiać na swoją korzyść nie mógłbym, i nikt myślę z księży tego by nie uczynił. Ale gdyby tak było, moje dziecko, dałbym chętnie rozgrzeszenie temu, coby ci odebrał na lepszy użytek najątek wydarty wdowie i sierocie. Będę się modlił, aby cię Bóg nawrócił, a gdy uczujesz zgryzotę sumienia, naówczas dopiero przyjdź do mnie.

To mówiąc kapucyn wyszedł po cichu. Maleparta

rzucił za nim wzrokiem szyderskim i zadumał się głęboko, wlepiając chmurne oczy w stół przed nim stojący.

— Ten policzek — mówił w duszy — albo jest zasłużony, co nie wiem, albo niewinnie wzięty a on porwyca. Trzeba mi dójść tego i pomścić się po cichu, tak aby śladu zemsty nie zostało. Żona w klasztorze bezpieczna, powrócić do mnie musi — dajmy się jej uspokoić i zapewnić. Będzie czas ją odebrać. Teraz do zemsty! — Wyzwać go? głupstwo! — lepiej zrobię — lepiej.

Wziął za czapkę i miał wychodzić. — Wstrzymał go hałas na wschodach.

Do izby weszło kilku ludzi nieznanomych, ze stroju i miny okazujących się bogatą szlachtą. Jeden szedł naprzód, podżyły już, siwiejący, blady, posępnego oblicza, za nim w niejakiem oddaleniu towarzystwo, w którym rozpoznał Maleparta znajomych dwóch prawników Lubelskich.

Ułożywszy twarz stosowną, mecenas udał zajętego papierami i znużonego pracą. Postąpił ku niemu najstarszy i powitawszy skinieniem głowy, odezwał się:

— Służby moje powolne: miło mi poznać tak sławnego i wielce renomowanego prawnika, jakim wielmożny pan słyniesz. Jestem Czerniawski, starosta Wilski do usług, i przyszedłem tu naradzić się z panem w jednej mojej ważnej sprawie, gdyż jak mówią nikt nad wielmożnego pana w trudnym razie.

— Pochlebiają mi, jaśnie wielmożny starosto — odrzekł z ukłonem mecenas. Jestem cały do usług jaśnie wielmożnego pana. A tymczasem siadać prosze.

— Mój patron, jegomość pan Pechalski, opowie wielmożnemu panu o co rzecz idzie szczegółowo i dokumentalnie; co do mnie — rzekł starosta siadając — ograniczę się nie wielą słowy. Mam sprawę sukcesyjną, wielce zawiklaną na nieszczęście, z jednym z deputatów, a że w trudnych razach wielmożny pan zda się tu jedyny, sterczą mi wszyscy pomoc jego. Od trzech dni posyłałem i dowiadywałem się o niego napróżno, nareszcie sam jadąc mimo zaszedłem się *personaliter*

submittować i spytać, azali się, mimo trudności sprawy, podjąć onej nie zechcesz?

— Z którym z deputatów? — spytał Maleparta niechętnie.

A pan Pechalski odpowiedział:

— Tak to wielmożny pan wiedzieć musisz, bośmy ją kilkakroć przegrywali, i coraz z nowej beczki wznawiamy, z jaśnie wielmożnym Stanisławem Górskim.

Na to imię porwał się z ławy Maleparta, pokraśniały mu policzki, zapłomieniły się oczy.

— Tak, tak, przypominam, — zawołał — przypominam, sprawa, w której ichnościom dowodów tylko do wygranej brakuje. Sprawa święta.

— Święta sprawa! tak, tak, — dodał starosta — a dowody?

— Dowody będą — zawołał mecenas — i sprawę wygramy! Biore ją na siebie. — Te słowa wyrzekł tak impetycznie Maleparta, z tak niezwykłym sobie zapalem i porywcznością, że wszyscy przytomni po sobie spojrzeli, i starosta o zachwalonym adwokacie zwątpił, widząc jego niesłychaną presumpcję, nieczem nie usprawiedliwioną.

— Tylekroć już szwankowałem, nawet gdy deputat przeszłego trybunału forsa mojej partji obranym nie był, że się i spodziewać nie śmiem. Choć on sam nie forytował swej sprawy, dla imienia i koleżeństwa inni ichność panowie deputaci nie dopuszczają nawet dojść jej.

— To fraszka — zawołał mecenas — naprzód deputat często się absentuje, możemy przydybać porę kiedy go na sesji nie będzie i w mieście; powtóre deputatów ująć, jeśli, jak się spodziewam, jaśnie wielmożny starosta załować datku nie będziesz, bardzo można.

Starosta głową kiwnął.

— Dalej — mówił żywo. — Instygatora z woźnym wołających sprawy, przekupić, co najłatwiejsza, bo na to nie wiele potrzeba. Nareszcie jeśli podobna, stojącego ze strony deputata-adwokata, ująć dla siebie możemy także. Kto to taki?

Pan Pechalski poddmuchnął nazwisko.

— I to się robi — rzekł Maleparta — a teraz do dokumentów, proszę o nie.

Starosta zdziwiony pospieszem z jakim brał się do sprawy mecenas, w milczeniu usunął się na stronę, a pan Pechalski, wyjął z zanadru sumariusz dokumentów i *status causae*. Po odczytaniu papierów głęboko zamyślony Maleparta zdawał się zwątpiewać o sukcesie.

Jaśnie wielmożny starosto, rzekł, dokumentów nam braknie. A chociaż prawa nasze w rzeczach sukcesji wielce są niedostateczne i ciemne, żywić się musze wykładem i prejudykatami; jednakże koniecznie nam tu na poparcie potrzeba coś więcej nad to co mamy.

Za całą odpowiedź starosta uderzył ręką po kieszeni.

Maleparta się skrzywił.

— Będziemy, rzekł, szukać dokumentów po aktach.

— Szukaliśmy ich gdzie tylko było można.

— To nie racja — odpowiedział mecenas — boście ichmość źle szukali. Proszę mi zostawić papiery.

Starosta wziął na stronę Malepartę. — Wyszedł z nim do bocznej komnaty, i po chwili wrócił mecenas z rozjaśnionem nieco czołem, a za połą kontusza pod pasem widać było założony spory węzelek.

— Jestem cały na usługi — rzekł we drzwiach — i wszelkich sił dołożę, aby i dokumenta wynaleźć i sprawę na dobrym stopniu postawić. Jakoś to będzie — dodał pełnym złości uśmiechem, zacierając ręce.

Po chwili rozmowy, w której rozpowiedziano nowemu patronowi szczegóły dotyczące się sprawy, położenia wzajemnego stron obydwóch itd. — rozeszli się, z radą Maleparty, aby nie odwlekając odwiedził starosta wskazanych mu deputatów, których listę mu dano. Zaledwie byli za progiem, porwał Paprocki za czapkę, i spiesźnie zatrzasnawszy drzwi, ruszył z domu. Na wyjściu samem zastanowił się i podumał chwilę, gdzie miał iść, a potem ruszył ku ratuszowi.

Niedochodząc do niego rzucił się w prawo i przez przechodnią kamienicę, zbiegł mecenas na tyły domostw, potem ku przedmieściu. Tu ścieżkami małemi,

krętami, czepiającemi się po pagórkach, doszedł do niewielkiego stojącego między seciną klatek ubogich domku lichego pozoru. Obejrzawszy się puknął do drzwi, ale z razu nikt nie otworzył. Puknął głośniejsz powtóre, i dopiero dał się słyszeć chód powolny wewnątrz, i czarna głowa wyjrzała okienkiem obok drzwi w ścianie będącem. Po czem odsunął się rygiel i Malepartę wpuszczono.

— A to wy — ozwał się grubym głosem gospodarz, ogromnej atletycznej postawy mężczyzna z wielkimi czarnemi wąsami, ten sam któregośmy widzieli dowodzącego cygańskimi świadkami — to wy: bardzo przepraszam, nie mogłem się spodziewać takiego gościa.

W akcencie gospodarza przebiegało się coś żydowskiego. — Maleparta uic nie odpowiedział, wleciał do izdebki niewielkiej, ogołoconej ze sprzętów, w której tylko stały pałasze w kącie, kilka strzelb, dzbanek próżny i tapczan kilimkiem zasłany w kącie. Młoda żydóweczka siedziała pod piecem, ale na widok obcego wnet uciekła do alkierza.

— Cóż mi rozkażecie? — spytał gospodarz — potrzebuje mnie? A widzicie żem wam dobrze potrafił usłużyć.

— Pst! cicho! — rzekł szybko Maleparta. — Nie po to co wprzód przyszedłem. Odprawcie jeśli kto jest w alkierzu: mam mówić o daleko ważniejszym.

— Ważniejszym? — śmiejąc się przerwał gospodarz — to chwala Bogu! możecie mówić śmiało, nie ma tu nikogo — ta głupia Rachel, uic nie rozumie. Możecie mówić. No, a cóż?

— Nie będę mówił, póki nie będziemy sami. Odprawcie gdzie chcecie tę dziewczynę.

— Czegoż się tak boicie?

— Dość że nie chcę mówić przy świadkach.

Wzruszywszy ramionami wyszedł na chwilę gospodarz i coś pomruczawszy w alkierzu powrócił.

— Teraz słucham.

— Podejmiecie się usłużyć mi szablą, jakieście słuzili językiem?

— Czemu nie! — zawołał przechrzta — czemu nie!

O wa! aby dobrze zapłacić.

— Dobrze zapłacę.

— A na kogo? Wielka figura?

— Wielka.

— Może mecenas? — spytał gospodarz.

— Coś lepszego!

— O! może kto z trybunału?

— Z trybunału!

— Regent? he?

— Szukaj wyżej.

— Co, wyżej?

— Śmiało.

Gospodarz strapiiony zastanowił się i umilkł.

— To coś niebezpiecznego — dodał cicho.

— Niebezpiecznego w istocie — rzekł Maleparta.

— To dajcie mi pokój.

— Jak chcecie — odpowiedział mecenas i poszedł ku drzwiom. Gospodarz jednak widocznie się wahał i nie puszczał go jeszcze.

— A powiedzieciez wprzód kto to?

— Nie ma potrzeby, jeśli się nie podejmujecie.

— Stary, młody?

— Młody i odważny.

Czelo gospodarza chmurzyło się.

— Wielki pan?

— I pan — dodał Maleparta.

— To ciężka sprawa — rzekł przechrzta. Niechajno się namyśle i poradzę, a jutro dopiero dam odpowiedź.

— Słuchajżeno — zawracając się ode drzwi dołożył Maleparta — ja sam jutro przyjdę po odpowiedź, nie waż się krokiem na próg mój stąpić.

— A gdyby w nocy?

— Gdyby i w nocy: mógłby kto nadejść, mogliby cię zobaczyć wychodzącego, poznać...

— Cha! cha! zaśmiał się przechrzta — widzę że jasny pan rozumiesz, że masz jeszcze coś do stracenia!

Surowo spojrział na gospodarza Maleparta i nie kiwnąwszy głową odszedł; ten stojąc w progu potrzasał także gestą czupryną, mówiąc do siebie:

— I ten przechrzta na się za coś lepszego odemnie! Jać przecie nigdy sam fałszywo nie przysiągłem, a jeśli kto zginął od mojej ręki, przecie napadając własnego życia nadstawił! Tfu! I to się dmie, że mi nie dozwala przystąpić do siebie.

Mecenas tymczasem szybkim krokiem postępował nazad ku ratuszowi, minął placyk i skierował się ku klasztorowi dominikańskiemu, gdzie w ciemnym zaułku ulicy dostał się do kilkopiętrowego domu, zasłoniętego w sam głąb i jakby kryjącego się przed okiem ludzi; przeszedł jedne, drugie i trzecie wschody, aż nareszcie dopadł drzwi skrytych w sionkach ciemnych i brudnych, u których znówu długo stać i stukać musiał. Wyszedł nareczcie ku niemu średnich lat, chudy i blady człowiek, obwiniony starą opończą, w oberzniętych butach służących mu za pantofle, nasadzonych na gołe nogi. Na głowie miał zawiniętą jakąś chuścinę, brodę zarosłą, oczy zyzem patrzące i przez brew prawą szram czerwony.

— A to jasnie, a to mecenas! chi! chi! mecenas! służeczka — odezwał się nieznajomy obwijając się opończą, z pod której białe widać było szarawary płócienne, na cieńkich kołyszące się nogach. Do nóżek upadam, *servus*, proszę, chi, chi, proszę. — I zamknął zaraz rygiel za wchodzącym, którego pokornie kłaniając się przyjmował. Izba do której weszli była obszerna, w pośrodku jej stół dębowy, zarzucony papierami zapisanemi, pargaminowemi karty, foljantami. Wśród nich stały kalamarze i pieczęcie, na podłodze wałało się mnóstwo obrzynków papieru, ostróżyn piór i strzępków jedwabiu różnofarbne.

Na ścianach uagich widać było tu i owdzie pozapisywane daty, nazwiska, imiona, formułki jakieś niezrozumiałe, notatki. Gdzieśniedzie przyklejony kawał papieru *pro memoria*. Na drugim stoliku pod oknem także plika tylko papierów leżała, a pod nim butelka szklanką wywróconą nakryta. W framudze były drzwi czki otwarte do drugiej niewielkiej izdebki, gdzie stało łóżko ubogie i nie posłane, kuferków parę kilimkami

zasłanych i zegarek drewniany w skrzyni ciemno malowanej. Dwóch czy trzech dość odartych ichmościów pisali za stołem i odczytywali papiery.

Gospodarz z Malepartą udali się przez wielką izbę do bokówki, gdzie zawsze osłaniając się swoją opończę, i poprawując czupryny z pod chustki wywijającej się ów jęgomość, poprosił naprzód siedzieć mecenasa.

— Przynoszę ci robotę — rzekł Maleparta.

— Nóżki całuję, chi! chi! nóżki całuję, choć jej zawsze jest do licha, że nastarczyć nie można i podołać trudno, a człek do reszty oczy wysłępi.

— Ależ to nie darmo, panie Czubak.

— Zapewne, że nie darmo, mecenasie. Ale chleb, niech go kaci porwą: człek się i strachu naje i nanudzi, nielicząc że nie ma nocy spokojnej, bo wciąż jakieś straszliwe mary po łbisku się włóczą.

— Co chcesz? — rzekł Maleparta — każdy się musi frasować. Nie bez tego!

— A zapewne, mecenasie — odparł pan Czubak — to się tak gada, a robota swoją drogą. I niechwaląc się lubi człek popracować, aby wszystko było jak się należy. Niechwaląc się, ekspedjujem przywilejów więcej niż kancelarje królewskie obie! A gdybyś waszmość widział staroświeckie hramoty naszej fabryki, gdy się dobrze w bulce chleba dopieką; gdy atrament wyżółknie, wosk na pieczęci powykrusza się, przysięgłbyś że oryginalne. No już to, niechwaląc się, lubimy robić co się zowie! To to panie nie łatwo skoncypować *sine errore et menda* stary dokument, albo przywilej i wypisać go *ut sic*. To sztuka! to sztuka! I niechwaląc się...

— Niechwaląc się mości Czubak, nieustannie się chwalisz — odrzekł mecenas.

— Niechwaląc się, ja to mówię — kończył jęgomość w opończy i chustce na głowie — bo JW. mecenas, bardzo zawsze honorarja lichę wyznacza, nie mając baczności co to za praca głową i ręką! Ta to potrzeba myśleć, szukać, dlubać aby się Indzie nie poznali, i wartować, która księga akt zaginęła gdzie, aby z niej

wypisać ekstrakt *cum omni formalitate et sigillo*. Ta to mecenasie, kiedy przyjdzie podpisanymi świadki datować, to możolna robota, szukać jacy kiedy żyli, kto na jakim był urzędzie, jak się pisał? kiedy JK. mość w tej a tej dacie najdował się, aby się niepośliznąć. A wyrażeniaż, a łacina, a niechwaląc się i kaligrafia, to fraszka myślicie? Co starsze, to gorzej! A pieczęcie! Albo to! Niech ich kaci porwą! Mało kroniki czytać, herbarze przerzucać, akta drabować, jeszcze pamięci trza djabelskiej, aby baka nie uciąć: a nim ten nieszczesny dokument albo przywilej wynijdzie gotowy z fabryki, kosztuje on potu więcej niż za niego płacą pieniędzy. Niechwaląc się mecenasie.

— Nie chwal się, i daj mi gadać — przerwał Maleparta.

— Ale bo to chi! chi! szanowny mecenas wszystko chce mieć pół darmo, a to tak mi Panie Boże dopomóż, nie łatwo! A co strachu...

— A któż was musi do tego?

— Człowiek uczciwie na kawałek chleba pracuje.

— Uczciwie? — spytał Maleparta.

— A cóż? albo nie? — odbąknął jegomość w opończy, trochę oburzony. — Hm! A cóż myślicie? A mnie kaduk potem, czy tam kto mojej pracy na złe użyje, czy nie? Czy ja to wiem? Toćby i platnerza przyszło karać, co miecze sprzedaje, za wszystkie zabójstwa popelnione niemi.

— A teraz *ad rem*, mości Czubak.

— Słucham.

— Potrzeba nam kilku dokumentów; ale akta już przez obie strony mocno wartowane były. Robota trudna, aby się na niej nie poznano, bo szczerlnie wyglądać będą.

— Już to ja się tego nie boję — odpowiedział Czubak z uśmiechem — skoro wezmę na siebie, zrobię jak należy, *cum omni formalitate*.

— Z tego tedy grodu, a raczej z tych grodów, w których kwerendy czynione były skrupulatnie, nie ma co dawać ekstraktów; ale z pobliskich i gdzieby, prawdopodobnie, dokumenta oblatowane być mogły, uważając

z których lat księgi *casu belli* albo *incendio* poprzepadały.

— A! chi! chi! tego już umie nie uczcie, to *elementa* naszej sztuki — zawołał Czubak — to nasza rzecz. A jakiegoż to gatunku dokumenta?

— Naprzód, odezwał się mecenas, testamentu nam brakuje.

— To można oryginał zrobić. Trzeba tylko wiedzieć — podchwycił Czubak — z kim nieboszczyk żył, jak stał w interesach i kogo mógł za pieczętarza i egzekutora wezwać.

— Tu są gotowe notatki.

— Dobrze.

— Powtóre, potrzeba nam kwitu panów Górskich, którzy z mocy testamentu obejmując swoją schedę, imieniem swoim i sukcesorów reces uczynili do dalszej substancji, akceptując testament. Co jest wielkiej wagi: tu sek. Bo kwit zeznany być powinien przed aktami i trzeba szukać kędy go wściбіć.

— Poszukamy — mruknął Czubak, potrząsając głową. — A dalej?

— Potrzeba nam jeszcze starodawnego jakiegokolwiek dokumentu *ad libitum*, z któregoby się dowodziło pokrewieństwo.

— Et! to to fraszki! Byle znać procedencje: a więcej?

— Więcej uie.

— A co za to?

— Trzydzieści czerwonych złotych — rzekł Maleparta.

— A ua Boga — zalamując ręce ozwał się Czubak — co waszmość mówicie! Ta to jeden testament wart dwa razy tyle: tać to mnie jeździć, szukać, ślepić potrzeba, pomocników płacić, pieczętunki rzezać! A ekstrakt z akt?

— Więcej dać uie mogę, głowa w głowę po dziesięć!

— Tak mi Boże dopomóż, nie mogę przyjąć! Klęę się jegomości, nie mogę. Bo co można to można, ale to tak już bez miłosierdzia mało! Zlituj się mecenasie i postąp, bo nie zrobię. Popytaj się po czemu drudzy płacą.

— E! ha! po czemu płacą! kiedy ja waszności mam w ręku! — zawołał Maleparta.

Pan Czubak obwinał się konwulsyjnie opadającą opończą, i zawołał:

— No, jak jegomość chce, a ja za te pieniądze, szelma jestem kiedy zrobię.

— Waćpan i tak nim jesteś.

— O! ho! a zawsze żarty. Chi! chi! Nie chwaląc się, a kto tak potrafi jak ja? dalipan nikt! Daj pięćdziesiąt i zgoda.

— To chyba bym swoich dołożył — rzekł mecenas.

— Kiedy klę się jegomości, że za te pieniądze zrobić nie mogę.

— Zrobi się.

— Nie mogę.

— No, wiesz aspan co, dołożę swoich dziesięć i zgoda.

— Mało, dobrodzieju! Sam testament, klę się jegomości, więcej wart, kiedy mówię, że wczoraj, nie dalej jak wczoraj, niechaj ci panowie poświadczą, zapłacili mi za fraszkę, za kwicik (co to bagatela) dwieście złotych.

— Co mnie tam do tego jak kto płaci, daję czterdzieści, bierzesz?

— Ostatnie słowo pięćdziesiąt — rzekł Czubak — to mecenas myśli, mnie się z tego wielkie rzeczy okroją? Jak przyjdzie policzyć koszt, może dziesięć dukatów, klę się jegomości, nie więcej.

— A ja ci się klę, że nie dam nad to co mówiłem.

— A na kiedy to?

— Jak najrychlej.

— Nie mogę, tak i co nie mogę, to nie mogę! teraz roboty nawał. Pracujemy nad przywilejem Władysława Jagiełłowicza, co niech go trzaśnie, jaki trudny. Musiałem aż starać się wzorn. Kosztował mnie niemało, a co chodzenia do ksiązek! Kat mu udał w cudzych krajach mieszkać! Tak i nie mogę.

— To jak sobie chcesz, ale pamiętaj — rzekł Maleparta — żebyś mnie potem w nogi całował, nie dam

ci roboty i nie chcę cię znać; a jak wleziesz w kaszę, bronże się drugi raz sam.

— A! łaskawco, mecenasie! to się nie godzi, to się nie godzi. Już ja tak i zawsze sługa twój, a ty się mnie nie zapieraj; kiedy każesz napiszę, ale klnę się, że z krzywdą moją.

— Bylebyś napisał.

— Szanowny mecenasie — chcesz mnie zgubić?

— Jeszcze nie, boś mi potrzebny.

— A zawsze żarty — chi, chi. No! no! Jakoś to będzie, proszę o notatki i zadatek.

— Notatki daję, a zadatku nie mogę.

— Dalipan mecenasie, grosza przy duszy nie mam i ostatniem ciągnę.

— A dwieście złotych za ów kwit? spytał Maleparta.

— Boruchowa zabrała, bom jej winien górą trzysta. i nie ma za co kwarty wina wypić. — Dziesięć czątych dasz?

— Nie dam.

— Dalipan musisz dać! — Już proszę.

— Pięć.

— Potrzebuję dziesięciu.

— Na ci pięć.

Na widok dukatów pan Czubak się nachylił na stół.

— Jegomość uważa, że wszystkie poobcinane?

— Jam ich nie obcinał, jakie mi dali takimi placę.

— A co z jegomością robić! — i westchnął gospodarz chowając szybko złoto, jakby się lękał aby mu go nie wydarto.

Po tych słowach, cicho jeszcze coś poszeptawszy, wyszedł Maleparta od twórcy przywilejów i dokumentów, który go z ukłonami odprowadził aż do drzwi, i przekradając się aby go nie widziano, dostał się nazad do domu.

Nazajutrz szarym już zmrokiem popędził znowu do znajomego domku na przedmieściu, w którym był wczoraj, ale gospodarza nie zastał i Rachel tylko spała na ławie pod piecem. Już klnąc miał odchodzić, gdy się zjawił przechrztą — wracający widać z dalekiej prze-

chadzki, bo ubłocony po kolana z szablą u pasa i cały spocony. Zrzucił płaszcz i rękawice skórzane, otarł czoło i powitał mecenasa.

— E! toście mnie śliczną chcieli sprawę dać na kark — zawołał zaraz.

— A bo co, jaką?

— A tę wczorajszą!

— A zkadże wiesz jaką?

— Ba! Ani chybi macie anse do deputata Górskiego, co wam dał w policzek.

— Zkąd ty to wiesz?

— Albo to ja tylko? całe miasto wie.

Zgrzytnął zębami mecenas i podchwycił:]

— Nie chcecie się tego podjąć?

— Hm! — rzekł powolnie przechrzta, to nie łatwo, a chcecie go pewnie wyprowadzić tam zkąd nie wracają?

Mecenas kiwnął głową.

— Młody, silny i nigdy sam nie chodzi.

— A mnie co do tego?! Rozprawiaj się z nim jak i gdzie chcesz, bylebyś zrobił czego żądam. Co ci zapłacić, oto gadaj.

— Co dasz? — spytał przechrzta.

— Sto czerwonych złotych.

— Ba! ba! ba! — gadaj to komu innemu a nie mnie! Tam gdzie można pójść na szubienicę prosto z mostu.

— A mnie co do tego?

— No! ale mnie do tego — sto! słyszałeś? — I ruszał ramionami wzgardliwie. — Tać to trzeba stać, chybać, burdę zrobić, zaczepić, wyzwać na rękę, obskoczyć i dopiero zmykać do Węgier. Bo deputata zmieść nie fraszka, mosanie — to jakem mówił szubienicą pachnie, kiedy nie ćwiertowaniem.

— Co chcesz? — spytał Maleparta.

— Trzeba — ozwał się żyd — abym miał o czym i ja i moi jakich lat dwa, póki się to nie przydusi, mieszkać za granicą — trzeba coś i za sztuczkę, aby się było czym dzielić, bo sam nie podolał.

— Cóż chcesz? — powtórzył Maleparta.

Przechrztą myślał, myślał, chodził i nareszcie rzekł:

— Ot tak jak sobie chcę. — Bierz lichu strach i szubienicę — jak dacie sześćset to zrobię.

— Co? sześćset?! Idź do diabła i z twoją pomocą!

— A policzek? — spytał śmiejąc się czarny — nie wart sześciuset? Ja bym za niego dał tysiąc! A wa! I zaryhotał na całe gardło.

Mecenas poczerwieniał i za włosy się targnął.

— Słuchaj, rzekł, dam ci trzystą.

— Ani chce słuchać.

— Ostatnie słowo czterysta.

— Ostatnie słowo pięćset.

— Bierz cię djabie: czterysta pięćdziesiąt.

— Bierz i ciebie. Reka, słowo!

— Słowo i ręka.

— A wypłat?

— Na miejscu i po uczynku.

— Jakto?

— Ja będę z wami.

— Tak? zgoda! Rozumiem! — dodał szydersko. Chcecie się przekonać, czy mu damy rady. a może i odpoliczkować? No! no — niech tak będzie!

— Ale nie myślcie, abym pieniądze miał z sobą — rzekł Maleparta — mogłyby was skusić. Wypłacę je w domu.

— A kto mi zaręczy że wypłacisz?

— Będziesz mnie przecie miał w ręku!

Przechrztą bystro spojrział w oczy Maleparcie, jakby śledził czy go nie oszukuje, potem mruknął:

— No! no. Dajże zadatek.

W milczeniu mecenas wysypał z trzosa trzydzieści oberzniętych dukatów, i chowając za nadrę woreczek — wyszedł.

— Dasz mi znać gdy czas i miejsce opatrzysz — rzekł, wymykając się.

— Dam.

ROZDZIAŁ V.

Pan Stanisław siedział nazajutrz w swojej kwaterze dla bólu zębów, który go męczył, i otoczony przyjaciółmi, na jakich nigdy kuchni jego i piwnicy nie zbywało, słuchał jak pan Pękosławski opowiadał przytomnym wypadek z mecenasem, pstrząc go swojemi facecjami.

— Tandem — ozwał się jeden z przytomnych — i cóż tedy po policzku?

— Kolanem w tył i za drzwi jegomości wypchnęliśmy — dodał pan Jerzy.

— A on?

— Poszedł jak zmyty i tyleśmy go widzieli.

— Nie mówcie, że tyleście go widzieli — przerwał przyjaciel — zobaczycie go jeszcze pewnie, bo to człowiek, co gdy zechce szkodzić potrafi, a mściwy za katy!

— Kpiemy się z jego szkodliwości! — zawołał Szczuka, pokręcając wusą.

— A co on nam zrobi? — rzekł Pękosławski. — Ot, odchuchawszy nadbitej szczęki będzie milczał i drugi raz w drogę nie wlezie.

— A tymczasem — rzekł inny z przytomnych — dziś już słyszałem, że podjął się sprawy pana starosty Wileckiego i grzebie się w dokumentach.

— Kto? on! — zawołał pan Stanisław.

— I — dodał ten sam — dał słyszeć słowo starości, że brakujących dokumentów odszuka.

Pękosławski rozśmiał się na głos.

— Sprawę przeciw deputatowi forytować? a to szalony!

— Dla czego? — spytał urażony trochę pan Stanisław — albośmy to wyjęci z pod praw? I owszem — i owszem! — ciekawym tylko jak się do niej weźmie,

kiedy to swoją niesłusznoscą sławny już proces i sposobu nie tylko wygrać go nie ma, ale nawet wznowić.

— Nie mówcie tego — rzekł ktoś — promowował on i wygrywał takie sprawy, co je za zdesperowane uważano.

— Gdyby tę wygrał — zawołał pan Stanisław — wiecie waszmość panowie bracia co by z tego wynikło? Jak wam się zdaje? Odebraliby mi prawie całą majątność!

Wszystkim nosy zwisły i nikt na to pytanie odpowiedzieć nie chciał, Pękostawski aż czmychnął. Szczuka westchnął.

— I zkąd ta przyczepka? — spytał ktoś z boku nieświadomy.

— Za żonę — odpowiedział Pękostawski. — Nieborakowi jejmość uciekła do klasztoru, nie mogąc znieść srogiego obejścia, bo ją słyszę karmil spleśniałym chlebem i zgnilą rybą, a do tego po bokach pociągał.

— To fałsz — ozwał się Stanisław.

— A zkądże jegomość wiesz że fałsz?

Deputat zamilkł.

— Tandem ubzdrało się mu, że jego żonę nasz pan deputat uprowadził, co jej ani znał, ani widział.

— I to fałsz — dodał deputat — bom ją prawda znał, ale mało bardzo.

— Niechże się jegomość sam broni — odezwał się Pękostawski — ja już umyvam ręce.

— Zkądże mniemanie że deputat ją uwiódł?

— Nie uwiódł ale uprowadził — przerwał pan Jerzy śmiejąc się — *magna distractio*.

— Ztąd podobno — kończył Stanisław — żem ją widywał w oknie siedzącą i rad się tamtędy przechodził; żem znał przed ożenieniem, a na nikogo więcej podejrzenia mieć nie mógł, tylko na mnie jednego.

— Ale — dodał ktoś — nie poczuwacie się do winy? spodziewam.

Pan Stanisław w milczeniu wrzucił ramionami pogardliwie.

Dano znać, że konie na których pokazanie oczeki-

wano, przywiedziono przed okna; wszyscy ruszyli oglądać siwych parę ogierów, wczoraj dopiero nabytych przez pana Stanisława.

Tymczasem pan Jerzy cofnął się z drugim w głąb okna ostatniego.

— Uważałeś — szepnął do poufałego — jak jegoś się źle bronił?

— Uważałem.

— I sam powiada, że ją znał?

— A prawda.

— I pamiętacie, że tamtego wieczora, kiedy pani mecenasowa znikła, była u nas hulanka, a gdy sobie podochočili goście, to gospodarz kazawszy nam poić i doliwać, sam kędyś owinąwszy się w płaszcz na chwilę uszedł?

— Pamiętam, i powróciwszy był czegoś niespokojny.

— Ani chybi, to jego sprawka. Ale cyt! Widać nie chce się z tem wydawać. Udawajmy że nic nie wiemy. — To mówiąc pan Pękosławski. jak gdyby tylko całe życie o siwych ogierach myślał, jął się unosić nad niemi i wychwalać, począwszy od nozdrzy do pęciny.

Wyprowadzono potem charty nabyte od pana Nabielaka Tataru, i oglądano je, bo były warte obejrzenia, tak urodliwe i szykowne; cuda zaś o ich zręczności powiadano. Oba pojedyńkiem brały zające i lisy, a nie lękały się i na wilka puścić.

Oczekując objadu, do którego już stół coraz rozszerzając, w miarę przybywania gości przygotowywano, potraszając obrusy kształtnie wysypanemi listkami kwiatów, formującemi rozmaite desenie, poczęto w dziedzińcu do wystawionego strzelać celu. Sam pan Stanisław mimo bólu zębów, może aby się rozerwać, stanął między zakładającemi o strzały i począł dawać dowody niepospolitej zręczności, przecinając kule na nożu, gdy dano znać o przyjeździe mecenasa Zawady.

Porzuciwszy pistolet pobiegł ku niemu deputat i z nim razem do sypialnej udał się komnaty.

— Macie co nowego? — spytał.

— Nic — mówiłem tylko z Malepartą.

— Jam z nim mówił także — rzekł Górski — i dalem mu w twarz.

— Słyszałem i boleję nad tem — odpowiedział prawnik — źle jest drażnić dzikie zwierze, a gorzej złego człowieka.

— A wy coście z nim mówili?

— Mówilem jako od żony ofiarując układy i zgodę.

— Nie przyjął?

— Słuchać nie chce, powiada że woli proces.

— Cóż będziemy czynić?

— Wstrzymajmy się chwilę ze stanowczemi krokami, a tymczasem....

Pan Pękosławski whiegł cały zaperzony do izby.

— Czego tam chcesz? — spytał niecierpliwie deputat — nie mogłeś poczekać?

— Cnd! cnd!

— Co za cnd?

— Dalipan cnd!

— Oszalałeś?! daj mi pokój!

— Pan mecenas Paprocki...

— Cóż!

— Przyszedeł.

— Małoparta?!

— Tak, on, czeka na jegomości w drugiej izbie.

— To być nie może.

— Ale klę się jegomości że tak jest!

— Czegoż on chce?

— Zapewne drugiego policzka, aby krzywdy tamtej stronie twarzy nie było.

— Jakiemże czolem?

— Takiem samem jak wprzód. Spokojnież ci przyszedł, gdyby nigdy nie, i prosi widzieć się z jegomością.

— Nie wychodź pan — rzekł Zawada — on gotów ci w łeb strzelić!

— Ale gdzie tam — przerwał Pękosławski — gardło dam, że przyszedł przeproszać iż na twardym jego pysku jegomość sobie rękę potłukł!

— Czekaj tu mecenasie — ozwał się Stanisław — nie wychodź. Gdyby cię tu zobaczył, miałby na mnie no-

wą kreskę. Zaraz powrócę.

— Uczyń się waszmość chorym i nie wychodź — rzekł wstrzymując mecenas.

— Będzie myślał że się go boję — odparł deputat i otworzył drzwi.

W komnacie sparty o stół, czerwony pod wejrzeniami przytomnych, co chichocząc otaczali go, stał p. Paprocki, gryząc usta i wstrzymując duszący go gniew. Gdy się Stanisław ukazał, wzdrygnął się, ale przemógł i pozostał spokojnym. Wszyscy myśleli że wyzwie deputata na rękę, ale jakież było ich zdziwienie, gdy pokłoniwszy się, rzekł głośno i wyraźnie:

— Jaśnie wielmożny pan skrzywdziłeś mnie na honorze, ale ja sam, wprzód, napadłem go w własnym domu i pokrzywdziłem także bezrozumniemi słowy. Krzywda za krzywdę i koniec. Teraz przychodzę go w obliczu świadków przeprosić za uchybienie i prosić, abys mi to zapomniiał, jako ja zapomnieć muszę — będąc sam przyczyną swej zniewagi — otrzymaną srogą naukę.

Pan Stanisław tak był zdziwiony że milczał, po chwili dopiero odezwał się trochę szydersko:

— Przebaczywszy sobie nawzajem, nie mamy nic więcej do powiedzenia. Przyjin wielmożny pan uniżony mój ukłon.

Odwrócił się i odszedł; Maleparta pokłoniwszy się także, wziął czapkę i spokojnie w swoją udał się stronę.

Po wyjściu jego łamali sobie wszyscy głowy, tłumacząc tak dziwny postępek, co go nikt zrozumieć nie mógł. Jedni mieli go za skutek bojaźni i podłości, drudzy za dziwną jakąś rachubę. Ci co znali Malepartę, radzili nie dowierzać laszczącemu się i upokorzonemu. Pan Stanisław śmiał się.

Przez kilka godzin trwały jeszcze domysły, rozprawy, tłumaczenia i opowiadania o Maleparcie, potem jak to zwykle bywa gdzie osób wiele i zabawa szumna unosi z sobą najgłębiej tkwiące myśli, zapomniano o wszystkim, na przemiany cytując anegdotki trybunalskie, dykteryjki starodawne o Smoliku i tym podobne

we zwyczaju przy stole pogadanki, co już w większej części sto razy obily się o uszy każdego słuchacza, a niemniej dla tego witane były zawsze równie serdecznym śmiechem. Dobrze jnż zmierzchało, gdy wstano od stołu próżnemi zastawionego flaszami, goście byli podochoceni, a p. Stanisław pozbył w ich towarzystwie dokuczliwego bólu zębów.

— Wiesz — odezwał się do Pękosławskiego, gdy biesiadnicy rozchodzić się zaczęli — dali mi znać o dobrych tokach nie daleko za miastem ku Zawieprzycom, posłałem tam już dla zbudowania szataśu i aby jutro być wcześniej na miejsu, pojedziemy nocą.

— A ból zębów?

— Przeszedł zupełnie.

— Ale wilgoć ranna go odnowi — reflektował Pękosławski, co wołał w łózkcu ciepłym się wygrzewać niż noc spędzić na siodle, a ranek w budzie leśnej.

— Daj mi pokój, muszę się rozerwać — rzekł pan Stanisław — miasto mnie dusi.

— A kogo jegomość weźmie z sobą?

— Was obudwóch; ludzi wysłałem naprzód: kaź osiodłać konia i nagotować strzelby, jeden kozak z nami niech jedzie. Księżyc świeci, noc piękna, użyjemy jej! Aby się tylko udaly łowy. Dla mnie niech podadzą turczynka.

— Białego?

— Białego: pod waszmościów kasztana i białonóżkę.

Jerzy poskrobał się w głowę nieukontentowany i wyszedł w dziedziniec, gdzie głośno rozkazy wydawać poczał, jak zwykł był czynić, gdy mu ich spełnienie polecano, nadając sobie powagę totumfackiego.

— Słuchajno — zawołał do masztalerza — jegomość pojedzie dziś w nocy, aby jutro rano trafić na opatrzone toki. Osiodlaj zaraz turczynka, kasztana i białonóżkę, kozak Wertun pojedzie za nami.

— A psy?

— Po kiegoż licha psy? Mówię ci że jedziem na toki!

W tej chwili zbliżył się do pana Pękosławskiego,

jakiś człowiek w odartej opończy, podejrzany z postaci i podobny rozbójowi, bo twarz miał, mimo że ją okrywała kapuza, czerwoną i porysowaną od szabel, całą w narościach, guzach i szramach. Stał on w bramie, w ciemnym kącie, i na głos pana Jerzego zbliżył się ku niemu, pytając:

— To więc jaśnie wielmożny deputat dziś jedzie?

— A na co to waszmości?

— At, zwyczajnie biedota, chciałbym się do niego dostać za jałmużną i poradą, to czatuję kiedy by go zastać w domu można.

Tu skłonił się do kolan panu Jerzemu, co mu zawsze zwłaszcza przy ludziach wielu smakowało, i dodał:

— Za pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana.

— A co to chcesz kochanku?

— Kiedy też jaśnie wielmożny deputat powróci?

— Zapewne jutro wrócimy.

— I daleko to jedzie?

— Nie daleko, na łowy ku Zawieprzycom.

— I tak zaraz dziś?

— A dziś, po księżycu.

— I zapewne już go teraz widzieć nie można?

— Przyjdźcie jutro, albo lepiej pozajutro rano, gdy wszyscy suplikanci się zbiorą.

— Kłaniam do stóp jaśnie wielmożnemu panu.

— Bądź waćpan zdrów.

Odartus szybko odszedł i za bramą zniknął. Pan Pękosławski powrócił na górę.

Wrócimy teraz do Maleparty, który w chwili gdy się to dzieje, chodzi niespokojny po izbie, nie patrząc nawet na leżący przed nim stos papierów.

Mrok padał i zapalona świeca stała już na stoliku, gdy ostrożnie otwarto drzwi i wsunęła się postać w czarnym płaszczu, w której łatwo poznać było przechrztę.

— Nie mam czasu do stracenia — rzekł przybywający spieszenie — deputat dziś jedzie nocą na łowy ku Zawieprzycom, zasadzamy się w sześciu na drodze. Wybieraj się co najrychlej. Masz konia?

— Nie mam, ale go dostanę — odparł zapinając się Maleparta i wybierając w chwili.

— A pieniędzy te z sobą nie bierzesz? — spytał przechrzt.

— Wyplacę je potem, gdy się wszystko spełni, tu, na miejscu, możecie mi zaufać, macie mnie w ręku.

— Djabła w ręku!

— A jakżeż?

— Chcąc ciebie zgubić, trzeba by jednemu głowę nadstawić.

— Ależ mnie z sobą macie?

— A kat nam po tobie, jak nie masz pieniędzy. Ale nie czas się spierać, godziny upływają, musimy jechać, a ja jeszcze pozbierać ludzi moich biegnę. Wyjeżdżajcie natychmiast i czekajcie na nas u mostu, jeślibyście wprzód przybyli; jeśli nie, to my tam na was czekać będziemy, tylko nie spóźnijcie się, bo skoro księżyc zejdzie, deputat wyjeżdża.

— Dużo on ma ludzi z sobą?

— Samoczwart. — Jednego nie ma co liczyć, slysze, bo gapimucha i do szabli niezdara. Ale nim do szabel przyjdzie, naprzód ich z rusznic pozdrowim, a ja mam celną strzelbę i guzikiem nabitą. Strzelałem nieraz po nocy do wilka, trafię i do człowieka.

Wzdrygnął się nieco mecenas, słysząc jak zimno mówił ten człowiek o zabójstwie i dreszcz go przeszedł na myśl, że równie obojętnie jemu by będąc zapłacony w łeb wypalił; ale chęć pomszczenia się przemogła i natychmiast wybierając się począł do drogi, od wszelkiego przypadku zostawując umyślnie świecę zapaloną w kwaterze, aby się światłem tym poświadczyć, że był u siebie. Ludziom powiedział, iż siada do papierów i drzwi zamyka, a sam wkrótce po odejściu przechrztu wysunął się cichaczem z domu wprost na żydowszczyznę. Biło mu potężnie serce, ale nie strachem, nie niespokojem sumienia: złością tylko i gniewem, co zawrzały na zbliżającą się chwilę nasyceńia zemsty.

Na żydowszczyźnie u znajomego żyda faktora, co mu posługiwał, znalazł łatwo konia z siodłem, i cho-

ciaż od dawna nie siedział w łoku i za chłopięcych czasów swych mało miał wprawy do tego, na wyjeżdżonej szkapie, łatwo sobie dał rady, gdyż ta więcej bata, niż engli potrzebowała. Przebrnąwszy się błotnemi uliczkami przez miasto i kletki przedmieść, Maleparta znalazł się blisko mostu, gdy tylko co czerwony księżyc na szafirowem ciemnem niebie wschodzić poczynął.

Półki jechał przez miasto śmielszy był, ale znalazłszy się nagle sam jeden w gołem polu, zaczął truchleć od nieopisanego strachu. Stał już u mostu, u którego nikogo jeszcze nie zastał; wiatr tylko dał świszcząc, szumiła wezbrana wiosniana woda i zdaleka gwarzyło miasto. Przez chwilę zostawiony sam sobie, dumał o swojej tylko zemście i uśmiechał się cicho do swych myśli.

Nareszcie dał się słyszeć tentent od strony miasta i w mroku nocnym pokazało się kilka koni. Maleparta stehórzył, ale czekał w miejscu. — Zbliżyli się jeźdźcy, wszyscy byli na ciemnej szerści a różnego wzrostu koniach, zawieszone na plecach rusznice już z daleka łufami świeciły. Na przodzie jechał przechrzta, owinięty w płaszcz czarny; jak tylko postrzegł u mostu Malepartę, puścił się ku niemu i powiedziawszy tylko:

— Dalej żywo! chwili nie ma do stracenia.

Puścił się z nim razem, drogą ku Zawieprzycom naprzód.

Z początku jechali w milczeniu, ale ubiegłszy kilka set kroków, sam Maleparta spytał:

— A gdzie się zasadzimy?

— Niedaleko stąd jest dębnik gęsty i jar, którego minąć nie można. Jest tam kamienna figura na rozdrożu, to najlepsze miejsce.

— A jak rozpoznamy naszego?

— Jedzie na białym koniu.

— Pewnie?

— Niezawodnie.

Kłusowali dalej, a za nimi owi ludzie przechrzty, szemrząc coś między sobą spieszyli. Dobiegli do zarośli

dębowych i tu w samej szyi jaru zatrzymał się przechrzta.

— Stój!

— Na lewo bez drogi pod górę i z koni. — Rozkaz został wypełniony ściśle i ludzie po jednym zbili się z drogi drapiąc krzakami. Maleparta i przechrzta szli pozsiadawszy przodem. Nieco opodał zostawiono jednego do trzymania koni, a reszta położyła się nad samym jarem w rząd tak, że przejeżdżający lufy miał nad głową; księżycowe zaś światło biło prosto na podróżnego i łatwo go było wziąć na cel. Maleparta położył się z bijącym sercem, najpierwszy z brzegu, a przechrzta szeptał po cichu swoim:

— Celować do białego konia, po wystrzale skoczym wszyscy do nich, ażeby się przekonać czy w istocie trafiony. — Ognia dawać wszystkim razem; ani słówka nie pisać! — Dwóch niech zastąpi od tyłu, aby nikt nie uciekł i nie pobiegł za rychło dać znać do miasta.

Po uczynionych przygotowaniach, każdy położył się w milczeniu, opatrzywszy strzelbę, i nic słyszać nie było, tylko szelest wiatru w krzakach, szum daleki rzeki, a niekiedy westchnienie którego z niecierpliwszych, zaraz stłumione znakiem milczenia przechrzty.

Po długim oczekiwaniu nareszcie daleki niewyraźny dał się słyszeć tentent. Leżący przyłożywszy ucho do ziemi, najpierwej go usłyszeli, wzajemnie się ostrzegli, zwrócili oczy na drogę i czekali.

Zbliżał się tentent, coraz a coraz wyraźniejszy, aż i głosy słyszeć się dały dolatujące z wiatrem dobitnie do ucha zbójów. Z początku była to rozmowa głośna i wesoła, potem zaczął się śpiew. Maleparta dosłyszał wyrazy znajomej pieśni pobożnej.

Kto się w opiekę.

Jezdni widać powoli bardzo jechali, bo i pieśń się skończyła, a jeszcze do jaru nie zbliżyli się. Przestawszy śpiewać, znowu zaczęli rozmawiać, i do uszu mecenasa dolatywały coraz wyraźniej słowa, niekiedy tylko silniejszym zadęciem wiatru przerwane.

— Chłodna noc! — ozwał się ktoś jeden.

— Nie od dziś wiadomo, żeś waść piecuch, panie Jerzy.

— A dalibóg nie taję się, że wolę za ciepłym piecem siedzieć.

— I piwo z grzankami popijać.

— Choćby bez piwa.

— Proszę! — I zaczęli się śmiać.

— No, co to mi za polowanie, na które trzeba jechać całą noc, a djabeł wie, czy się jeszcze uda?

— Moje lepsze — rzekł w duchu przechrzta — bo pewnie się uda. — Jadący mówili dalej.

— I dla cietrzewia tam nie spać, telepać się na szkapie.

— A zły cietrzew?

— Ba! na buraczkach wyśmienity.

— A na tokach?

— Niech go kaduk porwie!

— Czemużeś się aś nie został w domu?

— A to by pięknie było, gdybym jegomości nie dotrzymał towarzystwa.

W tej chwili nikt już nie nadstawiał ucha na rozmowę, bo jadący zbliżyli się pod sam jar i słysząc było szelpotanie liści o które konie potraçały, i usuwającą się ziemię pod kopytami.

Zaciemniało w szyi jaru i razem ukazali się jezdni. Naprzód jechał ktoś na ciemnej szerści koniu, dalej na białym, dalej jeszcze opodał trochę. Maleparta, jak tylko postrzegł siwego, niewytrzymawszy i nim w jar wszyscy się wcisnęli dał ognia, za nim reszta.

Za dymem przez chwilę nic widać nie było, ale ludzie przechrzty skoczyli wnet w parów dobywając szabli, a Maleparta z niemi. Po wystrzale i wykrzyku, co się prawie jednocześnie dał słyszeć, tentent ku stronie miasta rozległ się gwałtowny i nadbiegający z szablami zbóje znaleźli tylko jednego człowieka, rozciągniętego na piasku, twarzą o ziemię upadłego. — Obok targał się postrzelony w piersi koń biały. Maleparta jak tylko to ujrzał, nieczekając więcej, obłąkany rzucił się w krzaki kędy były konie, porwawszy pierwsze-

go z brzegu, dosiadł, zaciął silnie — poleciał! Sam nie wiedział, jak przebiegł przestrzeń dość znaczną dzielącą go od mostu, i wpadł na przedmieścia, jak przebył żydowszczyznę. Odetchnął dopiero w Grodzkiej bramie, gdzie spamiętawszy się nieco zsiadł z konia, nikogo blisko nie widząc, puścił go wolno, a sam pobiegł pędem do kwatery. Tu ledwie mogąc rozeznąć klucze, odmykał i ryglował za sobą szybko, bezprzytomnie; wpadł na górę i oglądając się, nasłuchując, cały drżący, siadł za swój stół, na którym topniała reszta niedogorzałej świecy. Włosy stały mu kołem, oczy słupem, ręce się trzęsły, zęby szczekały, serce biło przez pierś całe, zimny pot go oblewał.

Zaledwie usiadł i ochłonął nieco, gdy głos tuż pod nim słyszeć się dający przeraził go tak, że się schwycił z siedzenia i rzucił w stronę z której wyszedł, z rozstawionemi rękoma, jakby miał zdusić napastnika.

— Na Boga! co to mecenasowi? — zakrzyczał wystraszony dependent.

— A! to ty! — zawolał Maleparta.

— To ja! i nie pojmuję co się z jegomością dzieje! Gdzież jegomość biegł, z kąd powrócił taki przestraszony, poalterowany?

— A jak wiesz — krzyknął mecenas — żem biegł, żem poalterowany? Po co mnie szpiegujesz? Na co?

— Na miłość Boską — ozwał się dependent — cóż ja winien że mam oczy i uszy. Leżę na tapczanie i czekam na jegomości w antykamerze, toć musiałem słyszeć jak powracał.

— Ja nie chodziłem nigdzie.

— A z kądże?

— A tobie co do tego, trutniu.

— Niechaj trutniu, ale jegomość dalipan coś nie swój — cóż się stało?

— Milcz i spij, kiedy cię nie pytam.

— Milczeć będę, a spać choćbym chciał nie mogę.

— Idź precz.

— Dalipan oszalał — szepnął dependent. Stukanie do drzwi silne i natarczywe słyszeć się dało i w je-

dnej chwili Maleparta zgasił świecę i padł na tapczan.

— Słuchaj — rzekł do dependenta — jeżeli piśniesz słowo żem nie był w domu, żem wracał w nocy; jeżeli powiesz cokolwiek o tem komukolwiek, kiedykolwiek, pożegnaj się z tym światem.

— A po co ja mam to gadać?

Stukanie do drzwi trwało.

— Coś to pilnego, czy nie może jegomość otworzyć — rzekł cicho dependent — bo zabierają się drzwi wyla-mywać czy co, tak w nie gruchoczą.

— Milcz!

To mówiąc zerwał się z łóżka bezprzytomny i porwawszy za kołnierz niespokojnego wepchnął do alkierza. Spuścił na zamek, potem stanął rozmyślając.

— Pewnie przechrzta bije do drzwi. A jak ci co go może gonia, złapią pod moim domem? Nie lepiejby otworzyć i zapłacić? Ale taką sumę płacić? I nie wiedzieć za co? Nie — nie!

Tymczasem bicie do drzwi nagle ustało i słyszeć tylko było, szybki bieg po pod oknami. Maleparta wyrzwał, jakiś człowiek pędził ku Krakowskiemu przedmieściu. Poznał przechrzte. Jeszcze chwile niespokojny postął u okna, potem odstąpił i usiadł znużony na tapczanie, to przysłuchując się najlżejszemu stukowi w ulicy, to sam gadając do siebie.

ROZDZIAŁ VI.

Po bezsennej, ale dla natłoku cisnących się burzliwie myśli, krótkiej nocy, Maleparta ujrzał z przestraszeniem świtający w oknach dzień. Wypadki nocy wydawały mu się jakby snem gorączkowym; począł się wytrzeźwiać powoli i przychodzić do siebie. Odemknął drzwi od alkierza i wywołał dependenta.

— Co to jegomości w nocy się stało? — spytał przecierając oczy pomocnik.

— A! wielkiemu się nabrał strachu — rzekł spokojniej już Maleparta. — Chodziłem w jedno miejsce, nie daleko na żydowszczyznę i zbójcy mnie napadli w Grodzkiej bramie, ledwie zdążyłem uciec przed nimi i zaryglować się, a jeszcze zuchwalcy i do wrot się dobijali.

— Proszę! — rzekł dependent — pod boki trybunału nie ma bezpieczeństwa na ulicach!

— Ale o tym wypadku wara gadać, — dodał mecenas.

— A ktoby gadał! — rzekł dependent.

Posławszy po szklankę mleka, zwykłe swoje śniadanie, do którego żydowski dodawał obwarzanek, Maleparta siadł do papierów. Ale nie zrobić nie mógł, tak był niespokojny i jeszcze ochłodzić się nie potrafił, a choć ustąpiła gorączka nocna, były się jeszcze straszne myśli po głowie.

Dependent powrócił wkrótce i stawiając szklankę, odezwał się:

— A to jakaś diabła noc była, bo słyhać....

— Co słyhać? — spytał szybko wlepiając w niego oczy Maleparta.

— Pana Górskiego, deputata, także jacyś zbóje napadli tej nocy jadącego za miasto.

— I cóż? — podchwycił mecenas.

— Nie wiem: kogoś tam nawet ubito, a reszta uciekła — dodał chłopiec. — W całym mieście tylko o tem gadają, i już też mleczarka mówiła, że to widać jakaś banda zbójców, kiedy i jegomości napadli.

— Zkądże wie że mnie napadli?

— A to ja powiedziałem.

Mecenas porwał się z pięściami.

— Przykazałem ci abyś milczał, trutniu — a nie, to ci łeb roztlukę!

— Ja, ja, bał struchlały chłopiec — ale cóż to z tego?

— Kazałem ci milczeć, czy nie?

— Kazałeś.

— Więc milcz jak ściana.

— Be — będą — szepnął przerażony tą gwałtownością dependent, i ustąpił poglądając z podełba.

Cały ranek upłynął na niespokojnem udawaniu pracy, godzina sessji wybiła i mecenas, któremu o to wielce chodziło, aby się na trybunale pokazać, wdziawszy suknie, wziawszy papiery, poszedł ku ratuszowi. Po drodze lękał się zaczepić kogokolwiek, bo zdało mu się że każdy mówić będzie o zabójstwie deputata i czytać z jego oczów niepokój, na jego czole napisany wyraz — zbójca.

Tak doszedł na trybunał już, i przeleciał wschody, gdy w ustępnej izbie podnosząc oczy, wśród żywo rozprawiającej gromadki osób, pierwszego postrzegł pana Górskiego, żywego i zdrowego, opowiadającego jak widać było swoje wydarzenie nocne.

Na ten niespodziewany widok, mecenas który był pewien, że deputat nie żyje, bo widział sam swemi oczyma z białego konia zwałonego jeźdźca, aż się cofnął przerażony, niedowierzając swym własnym oczom; opamiętawszy się jednak, prędko ochłonął i wlepiając weń ciekawe oczy, musiał ukłonem przymuszonym pozdrowić.

Niezręczność tego ukłonu i towarzyszącą mu konfuzję łatwo było deputatowi przypisać niedawnemu wypadkowi z Malepartą, ale mecenas myślał już że go wszyscy palcami jako rozbójnika wskazywali i usiadł jak najrychlej na ławie, ledwie dysząc. Deputat mówił dalej do otaczających :

— Co mnie najbardziej niepokoi, to że nie mogę pojąć przyczyny zasadzki, bo nie mam sobie do wyrzucenia przeciw nikomu takiej sprawy, co by zemstę pociągnąć mogła za sobą.

Po tych słowach zamyślił się i dodał:

— Chyba... ale to być nie może. — I rzucił okiem na mecenasa.

— A ten biedny? — spytał ktoś z boku.

— Już skończył — rzekł deputat: — oplakałem jego śmierć, bom go sam na to nieszczęsne polowanie namówił. Poczciwy Szczuka! przesiadł się na mojego białego konia, aby mi dać białonózkę, na którym przyszła mi jechać fantazja! Może to przyczyna że zginął. Pękostawski co się włókł z tyłu najlepiej wyszedł, bo najpierwszy drapnął nic nie oberwawszy, prócz srogiego strachu.

— I puście to tak płazem?

— O nie! — rzekł deputat — instygujemy, śmierć Szczuki wkłada na nas obowiązek pomszczenia się. Biedna matka, miała go tylko jednego podporą i pomocą!

— Sąż jakie ślady? dowody?

Tu Maleparta więcej niż wprzód uszów nastawił, a serce mu zabiło.

— O tem się teraz jeszcze nie mówi — odpowiedział pan Stanisław — spodziewam się że je znajdziemy, bo Bóg nigdy bezkarnie zbrodni nie puszcza.

Nigdy mecenas nie miał wiary, sam nie wiedział czemu teraz po pierwszy raz zadrgało w nim coś na te słowa, na wspomnienie nieuchronnej sprawiedliwości Bożej.

Pan Stanisław szepnął ciszej do otaczających poufale:

— W sercu biednego Szczuki znaleźliśmy tkwiący guzik srebrny, po którym jak po nici do kłębka dojść zamierzamy.

Po tych słowach, wszedł deputat na salę, na której już inni zgromadzili się sędziowie, a mecenas rozpoczął na pozór spokojnie z otaczającymi go rozmowę. Nie było żadnej na ten dzień przypadającej sprawy, do którejby należał, i po chwili pobytu w izbie ustępnej, czując że mu ciężko między ludźmi, a pokazawszy się już wszystkim o co mu chodziło, usunął się do domu.

Nie wiem jakim przypadkiem zajrzał po raz pierwszy do alkierza zajmowanego przez żonę, a postrzegłszy w nim porozrzucane i dotąd na ziemi leżące rzeczy, począł je machinalnie z niecierpliwością na kupę ściągać.

— Trzeba posprzedawać te rupiecie — mówił do siebie — dobrze żeby i za to jaki grosz przyszedł, już mnie ona nie mało kosztuje i pieniądze i zgryzoty.

Mówił i rozważał, ile za co wziąć od żydów będzie można, gdy z między sukien wypadł papierek, w którym coś ciężkiego uwiniętego było, i upadając zabrzęczało na ziemi. Chwycił go szybko Maleparta, i przeczytawszy nadpis znajdujący się na wierzchu, podskoczył z radości, unosząc go w górę.

— Aha! otóż i dowód! Nie myliłem się! Poczekajcie! Wygrana przy mnie. Na próżno się teraz zapierać!

W papierku znajdowała się spinka dana Rózi przez pana Stanisława przed samą śmiercią matki, a na papierze napisano wielkimi literami:

— Do oddania *panu Stanisławowi Górskiemu*. Szybko schował ją w zanadrze mecenas i niedoczekawszy się ukończenia rannej sessji, wybiegł wprost do kwatery deputata.

Nowy ten wypadek stłumił w nim niespokojność i silnie go zajął. Trzymał w ręku dowód stosunków żony z panem Stanisławem, dar kosztowny, którego przyjęcie świadczyło o stopniu poufności w jakim z sobą zostawali.

Co innego byłoby zgryzło, jego ncieczyło. — Poleciał do pana Stanisława, ale przed samym ratuszem, wstrzy-

mał go bieącego przechrzta, po wczorajszej zasadzce przechadzający się po mieście jakby nigdy nic.

— Ha! przecież waszmości nadybałem.

— Bardzom rad ze spotkania.

— Moje pieniądze?

— A umowa?

— Wszakże spełniona.

— Żartujesz ze mnie! — deputat żyje, możecie go widzieć wychodzącego z sessji.

— To być nie może!

— Tak jest! Postrzeliliście.

— Mów waszmość pan, postrzeliliśmy.

— Ja — ja — jākając się, rzekł mecenas — nie strzelałem!

— Koło mnieście leżeli, widziałem!

— Postrzeliliście... na śmierć pana Szczukę, a deputat z drugim uciekli.

— Aleśmy zrobili co chciałem, zasadzaliśmy się. Chłop strzela, Pan Bóg kule uosi — dodał szybko.

— Bez skutku: albo muie to... bez skutku.

— Bierz cię djabli! mozem tę sztukę gdzie indziej powtórzyć. Nie zrywacie układu?

Mecenas się zawahał.

— Pomówiemy o tem kiedy indziej. Wiecie, dodał, że znaleziono guzik wasz w sercu pana Szczuka?

— Ho! i cōż?

— Myślą po guziku dochodzić i instygują, wynieście się na czas.

— To bym dopiero głupstwo zrobił!

— Czemu?

— Zeby postrzegli, żeni zaraz po zasadzce zniknął, i poganili za mną na pewue. Małoż takich guzików na świecie?

I przechrzta nie nalegając dalej, odszedł ku ratuszowi się kierując. Maleparta popędził dalej ku kwatrze deputata. W chwili gdy do niej dochodził, usłyszał nagle spiewy księży i człowiek uosący krzyż zastąpił mu drogę. — Jak oparzony cofnął się ku ścianie kamienicy Maleparta i pozostał przy niej jak przykuty.

Kondukt wyciągał się od strony jezuickiego kościoła ku dominikanom. Wiodło go licznie zebrane duchowieństwo. Na kirem obitym wozie w odkrytej trumnie, postrzegł Maleparta bladą twarz pana Szczunki, którego od razu poznał, w oczach mn się zaćmiło, pod kolanami zadrgało, i stał wryty sądząc, że co chwila krzykną nań — zbrojca!! — Ze palcem powstając z trumny wskazał nań umarły i powie:

— Ten mnie zabił!!

Kondukt przeszedł, lnd za nim przepłynął, Maleparta jeszcze stał nieruchomy i drżał cały; zdawało mu się że oszaleje. Powoli przeszło wzruszenie nareszcie.

Widząc że jeszcze nie powracano z sessji i domyślając się że pan Stanisław wprost z ratusza uda się do dominikańskiego kościoła, gdzie odprawiano egzekwie, Maleparta puścił się nlicą bez myśli, aby czas zabić. Potrzebował on tej przechadzki dla ochłonięcia z przestachu, którym go przejęło spotkanie konduktu i dla zebrania rozproszonych myśli.

Zegar na krakowskiej bramie wybijał drugą, gdy znużony przechadzką gwałtowną mecenas wracał ku kwaterze deputata.

Spotkał go w samym progu, otoczonego licznym dworem i assystencją szlachty, a pozdrowiwszy dość śmiało, wyraził intencją pomówienia na osobności.

Pan Stanisław odwrócił się szybko i rzekł:

— Od niejakiego czasu, mimo policzka którym musiałem wielm. pana od siebie odpędzić, leziesz mi w oczy bezustannie, proszę więc niech ta rozmowa będzie ostatnią. Więcej ich z nim mieć nie życzę.

— I ja się spodziewam, że będzie ostatnią — odrzekł, z przyciskiem mecenas, — ale dla samego jaśnie wielm. deputata, życzę, aby się odbyła na osobności.

— Ja tego nie widzę potrzeby — rzekł pan Stanisław, nie mam tajemnic przed memi przyjaciółmi z niczego, i proszę mówić co mi powiedzieć macie.

— Jeszcze raz prosiłbym o rozmowę na osobności.

— Jeszcze raz odmawiam jej wielmożnemu panu — odrzekł pan Górski.

— Stanowczo?

— Nie mam jak jedno słowo.

— Jestem więc posłuszny — rzekł mecenas zbliżając się i głos podnosząc. — Niech będą świadkowie na to co powiem, tem dla mnie lepiej. Wczoraj jeszcze przepraszałem, dziś odwołuję przeproszenie upokarzające i domagam się satysfakcji, bo mam w ręku dowód, żeś wielmożny pan nie był obcym mojej niewiernej żonie i zostawał z nią w stosunkach tak ścisłych, żeś i bogatych na skorumpowanie jej darów nie szczędził. Oto jest — dodał, dobywając spinki z zanadru i ukazując ją wszystkim — oto jest znaleziona przezemnie spinka, należąca do niego, jak świadczy własnoreczny napis mojej żony, na obwijającym ją papierze, pozwolicie mi muiemać, że wy, a nikt inny jesteście porywcą niewiernej.

Pan Stanisław przez chwilę stał zarumieniony i zmieszany, wszyscy na niego zwrócili ciekawe i badawcze wejrzenie. Maleparta zdawał się tryumfować.

— Nie zapieram się tej spinki — zawołał deputat po chwili.

— Biorę waszmość panów za świadków jako się do niej przyznał! — zawołał mecenas, obracając się do koła.

— Tak jest, przyznaję się do niej — rzekł pan Stanisław — ale potrzeba abym wytłómaczył, jak i kiedy dałem ją żonie wielmożnego pana.

— O tłómaczenie nie trudno — krzyknął złośliwie Maleparta, chowając *corpus delicti* za nadrę.

— Posłuchajcie mojego — rzekł surowo deputat. — Przechodziłem ulicą *przypadkiem* mimo mieszkania wielmożnego pana, gdy jego żona, zaledwie mi z twarzy znajoma...

— Pewnie dla tego żeście się waszmość tylko po nocy widywali — rozjuszony zawołał Maleparta.

— Proszę cię milcz, bo tą pięścią po raz drugi pysk ci zaprę — zawołał Górski w gniewie podnosząc rękę: — twoja żona wybiegła w rozpacz, wołając księdza do umierającej matki, po którego ty posłać nie chciałeś. Zakłęła mnie, abym go zwołał i obłąkana prawie jęła

przedemną płakać nad tem, że ani go czem opłacić, ani w razie śmierci pogrzebu sprawić nie będzie mogła. Nie płonnie lękała się waszmościnego skąpstwa, boś grosza nie dał na pogrzeb tej której ogromne miałeś w rękę dobra, a moim kosztem uczyniony, udawałeś jakobyś sam sprawił. Naówczas dałem twojej żonie worek pieniędzy i tę spinkę. Nie mogła mi jej oddać, bo mnie odtąd nie widziała, a napis świadczy, że oddać mi ją chciała.

— O! wyborna bajeczka! — zawolał Maleparta — ale nie dość jej! Sami na siebie piszecie wyrok. Na-próżno byście się starali okazać, żeście dali pieniądze i spinkę przez litość. Pierwszej nie znajomej kobiecie nie daje się pieniędzy i kosztowności. Znaliście ją, mieliście z nią stosunki. Inaczej, odezwałaby się do was?

— Znałem ją dziewczyną — odpowiedział deputat — nie chcę kłamać, znałem ją, ale raz tylko w życiu z nią mówił.

— Plećcie te androny komu chcecie — odparł wzgardliwie Maleparta. — Ja im nie wierzę i uważam was za uwodziciela, a niesłusznie i zuchwale obelżony od was, chociaż wczoraj jeszcze przepraszałem, dziś domagam się satysfakcji: wyzywam was na rękę.

— Mości panie — odrzekł deputat — spodziewam się że nie wątpicie, iżbym wyszedł i bił się z każdym równym.

— Jestem szlachcic jak ty.

— Aleś infamis i łotr!

Maleparta porwał się ku deputatowi, którego zasłonili otaczający.

— Kijem po grzbiecie kiedy chcesz rozprawię się z tobą — rzekł rozjątrzony Górski.

— A ja, wedle prawa odwiecznego, jak psu ci w łeb strzelę — zawolał mecenas cisnąc się do niego przez otaczających.

— Puśćcie niech go rozedre — krzyczał Górski i pienił się od gniewu.

Zaczęto naradzać się i szeptać. Maleparta urągliwie warcząc coś niewyraźnego stał w miejscu.

Przyjaciele pana Górskiego dowodzili mu tymczasem, że jakimkolwiek był ten człowiek, nie godziło się, dawszy mu w policzek, odmówić szlachcicowi wyzwania na rękę.

— Mamże się bić z tym łotrem? — wołał deputat. — Ja, z nim?

— Potrzeba tego koniecznie.

Dal się nareszcie przekonać Górski i z pogardą odchodząc, rzekł do stojącego Maleparty:

— Przysłę kogo o oznajmienie godziny. Bądź spokojny: chciałeś krwi, będzie krew.

— Chcę jej i niechaj będzie — odparł Maleparta. — Ale słuchajcie panowie, dodał, mogę być ja pociągnięty potem o napaść, lub deputat. Każdy z nas zrobi wprzód zeznanie, że sam dobrowolnie śmierć sobie zadał.

— O tem wszystkiem w miejscu i czasie pomówi się — rzekł Pękosławski. — Czekajcie nas u siebie.

— Niecierpliwie — odchodząc zawołał Maleparta.

Na tem się rozstali. Ku wieczorowi, wedle obietnicy, nadeszli dwaj wysłannicy deputata do kwatery mecenasa, który ich przyjął z krwią najzimniejszą. Postanowiono spotkać się w dniu następnym, na gościńcu do Zamościa wiodącym, z rana o wschodzie słońca; szablą bić się miano, gdyż Maleparta strzelać nie umiał i na ówczas więcej daleko na szable niż na pistolety odbywały się spotkania; każdy z przeciwników miał wprzód uczynić zeznanie, jakie doradził Maleparta i takowe zostawić u siebie w domu. Pan Stanisław brał z sobą świadków, a mecenas przywieść ich nie obiecywał, spuszczając się na tamtych, bo wyrachował, że nikt mu nie zechce nawet za świadka posłużyć. Po tych preliminarjach, Maleparta zajął się noc całą porządkowaniem papierów, pisaniem, i dopiero nad raukiem, kazawszy się dependenciowi obudzić skoro świt, położył się na twardy tapczan. Ale napróżno chciał usnąć — tyle od niejakiego czasu dozranych wzruszeń zmrużyć mu oka nie dawały. Błada twarz pana Szczuki stała przed jego oczyma, jak ją widział w trumnie. Kondukt pogrzebowy chodził nieustannie po jego gło-

wie, a śpiew rozlegał się w uszach. Niespokojny, zły, zerwał się z tapczana, nie czekając chwili wyznaczonej i poszedł dobierać szabli. Wybrał ją długą, sprężystą i prawie prostą, doświadczona już była, bo w pierwszych czasach swego zawodu bił się nią razy kilka. Potem usiadł za stół dla napisania deklaracji, którą sam proponował; ale i w tej chwili fałszywe, na przypadek swej śmierci, zostawił na papierze zeznanie, nie że dobrowolnie popełnił samobójstwo, ale że ginął wyzwany od pana Stanisława Górskiego, tym sposobem przygotowywał zemstę na po śmierci nawet.

Zaświtało. — Maleparta zbudził ludzi, pozamykał drzwi, przypasał kord i wyszedł.

Po części z potrzeby, po części z ciekawości i niecierpliwości skierował się mimo kwatery pana Stanisława, koło której przechodząc spojrzał, ale u wrót otwartych żadnego ruchu nie spostrzegł. Minawszy więc je szedł dalej, i wkrótce stanął na umówionym placu pod dwoma debami, niedaleko wielkiej drogi.

Świeży ranek wiosenny, chłodny, mglisty ale wesoły, młodością tchnący, obwijał ziemię, okrytą rosą perlistą. Ptaszęta świegotały żwawo, tak jak tylko na wiosnę świegotać umieją, chmury rzadkie unosiły się po nad widnokregiem do koła, środek jego był czysty, na wschodzie jaśniał brzask poranka i księżyc z drugiej strony świecił blado zachodząc.

Od miasta ukazali się jadący konno samoczwart, mecenas poznał deputata, on wskazywał palcem na debę, widąc także postrzegł oczekującego, bo puścił się czwałem. — W chwilę przeciwnicy stali przeciw sobie. Z panem Górskim był nieodstępny Pękostawski i dwóch jeszcze nieznanym szlachty. Kozak trzymał konie opodal. Nie pozdrowili się, ani słowem do siebie nie przemówili spotykający. Stanisław zrzucił płaszcz i spróbowałszy kilku szabli, wybrał jedną z nich. Świadkowie opodal, ale tak aby wszystko widzieć mogli, stanęli.

Zaczął się spotkanie w milczeniu wzgardliwem. Od razu poznał, złożwszy się tylko deputant, że miał

do czynienia z lepszym niż się spodziewał rębaczem. Maleparta nacierał zajadle, Górski bronił się zimno, oczekując aż zmęczy przeciwnika. Ale na próżno, kilkakroć nieznacznie się drasnęli. Zdawało się że Maleparta wolnieć i męczyć się zaczął, potem słabnąć widocznie. Deputat natarł żywiej korzystając z tego i pędził już ustępującego mu przeciwnika. Chwilę tak w największem milczeniu trwała walka zmieniona, gdyż pan Stanisław ciągle nacierał a Maleparta tylko się bronił. Nagle jakby nabrał siły, gdy się najmniej spodziewał przeciwnik, płaął go mecenas w odkrytą głowę — i powtórzył uderzenie natychmiast.

Krew oblała twarz Górskiego, któren niepuszczając z prawej szabli, lewą chwycił się za oczy, zachwiał i padł; a nim dobiegli świadkowie, Maleparta zadał mu jeszcze kilka cięć z całej siły, leżącemu na ziemi bezbronnemu.

— To zabójstwo! — wołali świadkowie.

— To zemsta! — zakrzyczał Maleparta donośnie — to mój policzek za policzek!!

I z zimną krwią otarłszy szablę o trawę, schował ją do pochew, potem stanął nad popłatany, popatrzył jakby się chciał nasycić, i odepchnięty dopiero odszedł.

Pan Stanisław leżał bez przytomności na ziemi, a krew lała mu się z głowy strumieniem, zatamować ją i otrzeźwić omdlałego napróżno wszelkimi znajomymi sobie sposoby starali się przyjaciele. Pękosławski pobiegł dosiadłszy konia do miasta po cyrulika Abrahama, znanego w Lublinie ze swej zręczności w podobnych razach kalectwa; reszta pozostałych na przedce robili nosze z gałęzi, aby na nich przenieść Górskiego na kwaterę. Zdawało się że rany były śmiertelne, bo głowa głęboko kilkakroć przeciętą została i upływ krwi był straszny. Raniony nie ocucił się, włożono go jeszcze nieprzytomnego na nosze, dopiero ruch, czy powiew wiatru z omdlenia go na chwilę wywiodły; otworzył oczy, powiódł niemi, westchnął i znowu je zamknął.

Powoli wlekli się niosący deputata w milczeniu smutnem ku miastu, a nim kwatery doszli, przywiózł Abra-

hama Pękosławski. Stary żyd, zobaczywszy rannego, którego natychmiast chciał opatrzyć i położyć bandażę, potrząsł smutnie głową, zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

Na troskliwe zapytania przyjaciół nie nawet nie odpowiedział, posłał tylko po wodę, dobył narzędzi, postrzygł włosy i jał rany opatrywać. Z bólu ocucił się znowu Górski, ale z bólu powtórnie omdlał, słowa nie przemówiwszy.

— Będzie żyć? będzie żyć? — pytali do koła wszyscy.

— Pan Bóg wie, a nie ja — odpowiedział Abraham, kładąc bandażę i trzęsąc głową, — człowiek pracuje, a Pan Bóg skutkuje. Dużo krwi stracił, bardzo ranny; potrzeba doktora, ja sam nie poradzę.

I gdy jedni nieśli Górskiego ku kwaterze, drudzy rozbiegli się za doktorem. Abraham powolnym krokiem szedł przy noszach, dając coraz wachać octu z flaszeczki mdlejącemu.

Gdy się zbliżyli ku kwaterze, już przed nią zastali tłum znajomych, przyjaciół, sług i dworzan, lamentujący, płaczący, wyrzekający na zabójcę. Wszyscy mieli łzy w oczach a przekleństwo na ustach; potrzeba było ich widzieć z objawiającem się tak silnie przywiązaniem, aby ocenić człowieka co je wzbudzić umiał. Tłum zalegał dziedziniec, wschody, pokoje, stał u okien domu. Ubodzy, szlachta przez deputata wspierana, krzyczeli i odgrążali się, wrzawa była okropna. Ale największa boleść malowała się na twarzach sług i dworzan; niektórzy siedzieli i płakali, inni z założonemi rękami w milczeniu chodzili, inni do szabel się coraz rwali i chcieli biedz hurmem rozsiekać Malepartę.

On zaryglowany siedział już w domu, wysławszy pomocnika na wzwiady.

ROZDZIAŁ VII.

Gdy pan Stanisław leżał w gorączce otoczony lekarzami i przyjaciółmi, co o życiu jego powątpiewali, Maleparta tymczasem z najziśniejszą krwią zajmował się procesem przeciw niemu i czynnie koło niego chodził. Wysłał pana starostę Wilskiego w odwiedziny do jegomościów panów deputatów, doradził mu najlepiej którego czem miał ująć, jak się któremu przypochlebić. Przestrzegł do kogo na próżno by się trudził. Posłuszny litygant puścił się do wrót, z uklonami i zaprosinami. otwarł dom, nakrył stół, kupił wina i częstował kłaniając się jak najniżej, upatrując tylko na czem spoczęło oko którego deputata, aby mu zaraz ofiarować: to rzędkik sadzony, to bogato oprawną karabelę, to konia, to zegarek, to strzelbę. W potrzebie stał z trzosem otwartym, aby pożyczyć, strzegąc się dopominac długu.

Tym sposobem łatwo pozyskał ludzi, co mieli każdy z osobna jakąś słabość, za którą ich chwycić było można. Wkrótce pan starosta wkrał się tak dalece w serca większej liczby, że przy kielichach, gdy klęcząc wznoszono puchary, wykrzykując — *kochajmy się!* przysięgano mu dla niego uczynić co zechce. A po trzeźwemu choć w połowie pamiętano przysięgę. Ludzie co się kilkakroć razem upili, są koniecznie już starymi znajomymi i przyjaciółmi. Co więcej, mniej się ludzi poznaje żyjąc z niemi pół roku, jak pijąc z niemi dzień jeden. Każdy z deputatów wynosił starostę pod niebiosa, jego gościnność, uprzejmość, serdeczność, a chwalcąc go tak, *implicite* chwalił jego sprawę, którą raz pierwszy z innej już strony uważać zaczęto.

Starosta oznajmił, że nowe i ważne do niej wynalazł dokumenta, próbujące jego pretensje, z czego wszyscy się cieszyli, bo szczerze mu chcieli dopomóc. Łatwo, na nieszczęście, zapomina się nieobecnych! Ukochany pan Stanisław wkrótce dla większej liczby, jakby nie był na świecie, tak dobrze zabyli, że u niego także pili *kochajmy się*, wieczną przysięgając przyjaźń.

Maleparta dosłyszawszy, że pan Stanisław ma się nieco lepiej, a lękając się, aby przed przywołaniem sprawy nie wyzdrowiał zupełnie, pospieszał z wyprowadzeniem jej na stół. Dokumenta już były gotowe i przyznać należy, doskonale sfabrykowane; pan starosta na widok ich z radości się nieposiadając ofiarował mecenasowi, jeżeliby wygrał sprawę, dwie wsie z fortuny pana Górskiego. Tymczasem forsa szła swoim porządkiem i za zbliżeniem się terminu przywołania, podwojono starań o ujęcie deputatów, na których cała była nadzieja. Innych, a mianowicie nieugiętego owego, coś my go widzieli w pierwszej części naszego opowiadania, postarano się usunąć koniecznie, formując jako tako komplet z osób pewnych.

Nareszcie nadszedł dzień stanowczy, w wigilję którego pijatyka u pana starosty trwała do białego dnia i deputaci dali słowo sądzić, nie oglądając się na nic, wedle dokumentów. Chodziło bardzo o to, jakby oddalić surowego i nie ubłaganego p. Zielińskiego, owego deputata co się ani ująć, ani usunąć nie dawał. Ale Maleparta poradził na to, miał pocziwy p. Zieliński jedną słabość i tą go zwalczano; tak dalece prawda, że nie ma człowieka bez wady. Szanowny deputat wyobrażał sobie zawsze że był niebezpiecznie chory i zdawał się szukać tylko w sobie bólów i słabości, jakby mu to jakąś przyjemność robiło. Cały rok to na to, to na owo się uskarżał, domysławiając w sobie najdziwniejszych chorób. Niekiedy zdało mu się że miewał suchoty, to znowu, że poczyniała się w nim puchlina i t. p. Najłżejsza niedyspozycja nabawiała go niewymownym strachem. Korzystali z tego usposobienia dotąd sami lekarze, ale potrafił obrócić je na swoją korzyść Male-

parta. Ujęty przez p. starostę Wilskiego lekarz deputata, co go dzień w dzień w kwaterze u kapucynów odwiedzał, w wigilję stanowczej sessji, pomacawszy pulsu, obaczywszy języka, udał wielkie pomieszanie, zapisał lekarstwo i polecił najsurowiej nie wychodzić krokiem z domu i w łóżku przeleżeć dni kilka. Biedny Zieliński, przełęczniony niewymownie, chociaż zupełnie był zdrów, skazany na djetę i leki, niedomyślając się niczego, pozostać musiał w domu. Tymczasem pod różnemi innemi pozory oddaliwszy nieujętych i njąc się nie dających, przywołano sprawę *de noviter repertis documentis*. Te tak stanowczo mówiły za starosty pretensjami, że niepodobna było z nich przegrać sprawę. Dekret przygotowany wcześniej, podsunęty do podpisów, był zabójczy dla pana Stanisława Górskiego.

Miał już się nieco lepiej deputat i była niejaka ocalenia go nadzieja, gdy ten fatalny dekret zapadł. Wystraszony nim patron pobiegł natychmiast objawić go choremu. Było to ku wieczorowi już i uczta wrzała u starosty, na którą cała prawie palestra trybunalska zaproszoną została, wypróżniając kielichy, wrzeszcząc głośno i ryhocąc od wesołej ochoty; gdy patron wbiegł do cichej komnaty, w której p. Górski leżał z obwiązaną głową, wybladły, z wpadłemi policzki, i zdyszany nieprzygotowanemu do tego ciosu objawił, jaki zapadł dekret, co go pozbawiał prawie całego majątku.

Łatwo wyrachować skutki; choroba się wzmogła, gorączka ledwie uchodzona powróciła natychmiast, szal i obłąkanie przystąpiły. Reszta farbowanych przyjaciół, na których czele Pękostawski, tegoż wieczora wynieśli się z domu, gdzieindziej ofiarując swe usługi; ktoś nawet pana Jerzego zaprowadził na wieczerze do starosty, gdzie całą noc bawił wszystkich dowcipnemi ucinkami. Poczciwych tylko sług, przywiązanych do pana, kilku — zostali przy nim. Opustoszał dwór, wesele dworu, zmieniło się w posępne zamyślenie, milczała tak wprzód żywna, tak otwarta i ludem rojąca się kwatera. Chory od chwili tej coraz a coraz był gorzej

i sprowadzeni lekarze, niewiele już czynili o życiu nadziei. Obląkanie przystępujące wprzód chwilowo, zmieniło się w stan normalny, gorączka nie ustępowała, nareszcie objawiły się symptomata grożące rychłym już końcem życia i cierpieniom.

Naówczas to poczcwi i niepoczcwi pokazali czem byli. Szarpał każdy, kto co mógł i miał pod ręką, porywając konie, psy, broń, kosztowności, tytułem zastug, długów, lub bez żadnego wreszcie prawa. Rabunek wstrzymywany napróżno przez kilku poczcwiwszych, coraz wyraźniejszym, w miarę pogorszenia stanu chorego, stawał się. Ludzie obłowiwszy się znikali, dwór rozpręgał się, innej idąc służby szukać. Łoże śmierci deputata było smutnem widowiskiem i nauką: opuszczony od wszystkich, zapomniany od tych którym największej świadczył, konał w obląkaniu, niemając często kto by mu podał szklanke wody do ust spieczonych gorączką. Stary Piotr, ojcowski jeszcze niegdy sługa, sam jeden płakał siedząc u komina, i dwa psy podnosząc głowy wyły czasami smutnie. Ludzie pozostali, niesłuchając nikogo, pili, grali i kłócili się nieustannie, o ścianę tylko od umierającego. Niczem ich wrzawy stłumić nie było można — budziła ona w nocy na chwilę uśpionego Stanisława i zwiększała jego obląkanie.

Nareszcie Bóg się ulitował nad cierpiącym, którego za grzechy swoje odpokutował był dostatecznie na ziemi, i skończył cierpienia jego. Umarł pan Górski — a ta wiadomość nikomu prócz starego Piotra łez z oczów nie wycisnęła. Maleparta dowiedziawszy się o tem, splunął pogardliwie. Pan starosta zatarł ręce z radości, widząc że mu już nikt egzekucji dekretu przeczyć nie może: Pekosławski powzdychawszy trochę, jął na zmarłego dziwolągi wygadywać, niby nad nim i nad losem jego srodze w sercu ubolewając.

Tak na tym świecie skończył jeden z najlepszego serca, ludzi.

Pogrzeb jego miał się odbyć u księży dominikanów bez okazałości i wystawy, przystojnie tylko, bo ledwie na ubogi przybór do niego wystarczyły ostatki rozerwa-

nego przez długi i dłużników mienia, a nikt z krewnych nie przybył. Trybunał jednak i palestra, po czasie opatrzywszy się, przytomnością swą postanowili uświetnić ten obrzęd, jakby oddając hołd zasługom zmarłego. Nawet ci co sprawę sądili przeciw niemu, wotowali za odłożeniem sessji dla pogrzebu.

Małeparta także przyłączył się do nich, ale nie ze zgryzoty sumienia, nie przez jakiekolwiek uczucie. Byłby on ominął z daleka kondukt, gdyby tajemny głos nie mówił mu, że na nim może się znajdować jego żona. Wyrachował on, że jeśli Różia porwana była przez nieboszczyka, jeśli mu winną była swoboda i wybawienie, nieopuści tego obrzędu.

Dwóch pomocników swoich wysławszy w tłum, sam się także weń wniósł, niespokojnem okiem upatrując ażali jej nie postrzeże. Nabożeństwo u księży dominikanów, mowy pochwalne trwały bardzo długo i przeciągnęły się do późnego wieczora. Upierając się przy swoich domysłach Małeparta przeciskał się w zakątki najciemniejsze kościoła, szukając wszędzie żony, jakby czuł że ona tam być musi. Już się miało ku końcowi i lud z kościoła wychodzić poczynił, gdy dependent pociągnął za rękaw mecenasa, coś mu szepnął do ucha.

— Jakaś kobieta, rzekł, czarno ubrana, modli się w bocznej kaplicy i płacze.

— I płacze, powiadasz? — przerwał radośnie i niespokojnie razem Małeparta. — Gdzież ona? prowadź mnie.

— Chodźcie za mną.

Przesnęli się przez kościół coraz puściejszy, w którym już tylko niedogaszane górnych gzemisów lampy gorzały i dependent wskazał kaplicę. Ależ nikogo w niej nie było.

— Już jej nie ma.

— Szukajmy ku drzwiom.

Pobiegli oba w mroku upatrując czarno ubranej kobiety, i na samem wyjściu u kropielnicy dependent znownu pociągnął za rękaw mecenasa.

— To ona!

Mówiąc wskazywał na niskiego wzrostu kobietę, której twarz osłoniąta była czarnym kwefem, a cała okryta płaszczykiem tegoż koloru. Zdjęła w tej chwili rękawiczkę dla wzięcia święconej wody.

Chociaż zakryta twarz nie dozwalała Maleparcie dokładnie widzieć kobiety, z postaci, z ruchu zdawał się rozpoznawać żonę. Nie śmiał jednak nieznaną zacząć, szepnął pomocnikowi aby z nim razem szedł za nią. Kobieta niepostrzegłszy że była śledzoną, przeżegnała się i wyszła z kościoła sama jedna. W bramie przeczekała aż się tłum rozszedł, i z niejakim strachem, niepewnością obejrzawszy się, szybko iść zaczęła, przez bramę podług jezuitckiego kościoła wymykając się na plac przed nim znajdujący. Maleparta szedł w niejakim oddaleniu. Mijając ciemną teraz, a niedawno tak zawsze oświeconą i wesołości pełną kwaterę pana Stanisława, kobieta podniosła oczy ku oknom, westchnęła i prędzej jeszcze iść zaczęła. Maleparta widząc to, przekonany że się nie myli, pospieszył ku niej i nagle pochwycił ją za suknię.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie, wyrwała się mu i biedz zaczęła wołając o ratunek. Napróżno chciał ją gonić Maleparta i wołał na dependenta aby mu pomógł, daleko lżejsza wkrótce znikła im z oczów w ciemnej nocy i tłumach ludu rozchodzącego się z pogrzebu. Nie wrócił jednak nazad i wyrachowawszy szybko, że najbliższy klasztor brygitek może być jej schronieniem, popędził ku niemu w nadziei złapania żony u furty, która niepredko się na głos dzwonka odmykała. Nim jednak dopadł klasztoru już usłyszał szybkie i niustanne dzwonięcie, powtarzające się co chwila, a potem skrzypienie fórtki, co się już otwierała. Zdyszany wpadł na wschody i rzucił się we drzwi za kobietą, która właśnie wchodziła, pochwycił ją za suknię i głosem trzęsącym odezwał:

— Nie wyślizniesz mi się!

Kobieta krzyknęła wielkim głosem, rozruch się zrobił w klasztorze. Maleparta kobietę tulącą w dłonie

twarz, ciągle trzymał za suknię.

— Poznałem cię. wołał, napróżno się taisz, napróżno kryjesz, musisz powrócić!

— Nie! nie! — zakrzyczała kobieta (mecenas dopiero poznał głos żony) — nigdy! Zostaw mnie w pokoju! Daj mi tu umierać. Nie powrócę do ciebie, zabiłbyś mnie, jak zabiłeś...

— Więc wiesz że ja go zabiłem?

Kobieta nic nie odpowiedziała.

— Chodź! — I to mówiąc ciągnął ją gwałtownie. Na krzyk nieszczęśliwej zbiegli się od fôrty ludzie, od klasztoru zakonnice i wrzawa powstała. Rózia wydierała się z rąk mecenasa, który ją silnie porwawszy puścić nie chciał. Krzyki: — gwałt! napad! i rozbój! dawały się słyszeć zewsząd. Zakonnice płakały i lamentowały.

Po dość długiej walce, gdy straciwszy siły. Rózia już miała puścić z rąk żelazną kratę, której się w rozpaczycy chwyciła, rzuciło się dwóch ludzi z tłumu na rozjuszonego Malepartę i wydarli mu z rąk żonę. Jednym zamachem powalił ich obu o ziemię ale nim miał czas dobieść swej zdobyczy, która korzystała z tej chwili do ucieczki, ona mu z oczu znikła. Chciał biec za nią, ale druga fôrta zamknęła się i widząc że nie na teraz nie dokaże, a bojąc się, aby go za gwałt miejscu poświęconemu popełniony, nie schwyceno i nie sądzono. Maleparta rzucił się ku wyjściu, przebił zebrany tłum i broniąc zatrzymującym wyrwał i zniknął.

Nazajutrz mówiono wprowadzie najrozmaiciej o tym wypadku, jak to zwykle bywa po miastach: każdy go inaczej opowiadał i komentował: skutków jednak żadnych nie pociągnął za sobą i nie instygowano przeciw napastnikowi. On swej myśli odzyskania żony nie porzucił. wiedząc już gdzie się znajdowała, rozstawił czaty do koła klasztoru. zasadzając się, aby żonę napisać wychodzącą i mając nadzieję że kiedykolwiek ją przydybie.

Dość jednak długi czas upłynął, a ona nie wychodziła zupełnie z klasztoru. Maleparta widząc, że na

próżno czatuje, postanowił użyć innego sposobu, zwykłego sobie — zdrady. Udał się więc do p. Zawady mecenas, któren mu dawniej od żony propozycje czytnił, a teraz od śmierci p. Stanisława już milczał, nie proponując więcej układów, ani grożąc procesem.

— Słuchajcie — rzekł mu Maleparta — czy zawsze trwacie w myśli procesu przeciw mnie?

Zawada pochwycony niespodzianie nie wiedział co odpowiedzieć, ale po chwili namysłu zawahawszy się, rzekł, że chociaż to się przeciąga, nie obejdzie się bez kroków prawnych.

— Przyjmiecie propozycje zgody — odemnie?

— Bardzo chętnie.

Zawada nie wiedział jak Panu Bogu za te szczęśliwe dyspozycje dziękować, i z trudnością tłumił radość swoją.

— Posłuchamy, jakie nam waćpan podasz.

— Uczynię co tylko mogę, aby tę gorszącą sprawę stłumić.

— Bardzo sprawiedliwie, mecenasie; powiedzcież mi co zamysłacie uczynić?

— Ofiaruję alimenty mojej żonie, która podpisze układ, wzajemne dożywocie i zapis wzajemny, w razie bezprzytomnego zejścia.

— Majatki zostają w waszym ręku?

— W moim — daję alimenty.

— Cóż dać myślicie? Połowe intrat przynajmniej!

— Zapominacie — odparł Maleparta — że te intraty jeszcze mi nie powróciły wyłożonych kosztów prawnych.

— Chciejcie mi wyraźnie powiedzieć, ile ofiarujecie?

— Parę tysięcy złotych rocznie, dwoma ratami. Żona moja będzie mogła obrać sobie mieszkanie gdzie zechce i zupełnie zostanie swobodną. Zobowiążę się do dobrowolnej separacji.

— Pomówię o tem z nią.

— Pomówcie niezwłocznie.

Nazajutrz p. Zawada, który pospieszył do Rózi z niespodziewaną a szczęśliwą wiadomością, przystąpił

do nowej traktacji.

Chciał on więcej wymódl na Maleparcie, ale na próżno, uparty mecenas niepostępował nad parę tysięcy złotych.

— Zwróćcie na to uwagę, dodał, że czynim sobie wzajemne zapisy.

— Na których wy najwięcej zyskacie — przerwał Zawada.

— Kto to wie, kto zyskuje? Żona moja i tego co ofiaruję. nie mogła się nigdy spodziewać. Ale chcę spokojności i dla tego tylko ciężki dla mnie proponuję układ. Przyjmijcie go, bo dalej i tego nie otrzymacie.

— Spiszmy więc punkta zgody — rzekł p. Zawada — i pojedynczo nad niemi się zastanówmy: ja z mojej strony, wy ze swojej uczynicie projekt kombinacji.

— Bardzo dobrze.

Tak przez dni kilka przeciągały się traktacje, które niechybiły spodziewanego przez Malepartę skutku i uspokoiły nieco Rózię, bo jej Zawada codziennie donosił o zbliżającym się i mającym dojść układzie. Pewniejsza będąc tem, biedna kobieta, sądziła że może bezpiecznie już wyjść na miasto i w święto znajdować się w kościele; tego tylko oczekiwał Maleparta czekający na nią.

Dependent jego nieustannie szpiegował, zasadzony od rana do nocy, niedaleko fórty klasztoru. Dwakroć donosił już mecenasowi, że widział wychodzącą Rózię, ale ten aby ją bardziej upewnić, nie próbował nawet porwania. Tymczasem mniemane układy szły dalej i zbliżały się ku końcowi z wielką radością p. Zawady, który rad był, że cokolwiek dla biednej żony uczyni.

Wieczorem ostatniego dnia, kiedy już chodziło tylko o podpisanie sporządzonej komplauacji przy świadkach i wniesienie jej do akt, pomocnik nasadzony dał znać Maleparcie, że Różia weszła do Jezuickiego kościoła na nieszpór, sama jedna. Wprzód bowiem chodziła ze starszą, jak ona mieszkającą w klasztorze.

Maleparta z dwoma ludźmi swymi dopadł kościoła, przygotowawszy niedaleko kolase z parą koni, i gdy

nieszpór się skończył, wychodzić zaczęto, a Rózia jedna z ostatnich wracała do klasztoru, w upatrzonej chwili, rzucił się na nią mecenas ze swymi ludźmi, porwał i do kolasy wrzucił, zawiązując usta chustką, aby nie krzyczała. Konie czwalem popędzono ku Grodzkiej ulicy i w chwilę potem, żona Maleparty, siedziała już na rygiel zamknięta w alkierzu, płacząc nad swoją nieostrożnością i nieszczęśliwym losem. Mecenas ręce zacierał z radości i myślał tylko, jak nadał ma postępować z żoną. W tej godzinie właśnie umówione było z p. Zawadą podpisanie komplauacji i mecenas ukazał się w progu.

Maleparta szyderskim powitał go uśmiechem.

— Przychodzę — rzekł Zawada — dopełnić ostatniej formalności i powinszować końca.

— Mylicie się szanowny mecenasie — zawołał śmiejąc się do rozpuku Maleparta — wszystkośmy już skończyli i więcej nic nie potrzeba. Ostatnia formalność dopełniona.

— Jakto? — spytał zadziwiony Zawada.

— Tak jest, układ do którego przyjsć chciałem, spełniony i wziął swój skutek.

— Chciejcie mówić wyraźniej, gdyż was nie mogę zrozumieć?

— Najwyraźniej wam powiadam, że wszystko skończone.

— Nie przeczę, chodzi tylko o podpis.

— Nie chodzi wcale o podpisy.

— Nie żartujcie ze mnie.

— Mówię serjo.

— Nie chcecie więc układu?

— Nie potrzebuję go.

— Cóż się nowego stało?

— Dopełniłem tego o co mi szło. Słuchajcie p. Zawado, pozwólcie sobie powiedzieć, że i wy i ona nie daleko widzieliście. Gdzieżby taki człowiek jak ja, pewien siebie, trzymając w ręku majątek, serjo żądać miał układów i niewiedzieć dla czego chciał płacić, mogąc nic nie dać?

— Czegożęście chcieli?

— Czegom chciał, tom uczynił — żonę mam już w ręku.

Zawada załamał rece, podniósł oczy w górę, i wzgardliwie rzucił wejrzeniem na szydersko, zwycięzko uśmiechającego się Malepartę.

— Dawnom wiedział, że nie macie Boga w sercu i sumienia, dodał, alem nadto jeszcze o was dotąd trzymał widzę, bom was sądził mniej fałszywym.

— Fałszywym, niewłaściwe wyrażenie, kolego.

— O! oszczędźcie mi koleżeństwa!

— Jak się wam podoba. Fałszywym, termin niewłaściwy, zręcznym, powiedzieć było potrzeba: poczynając układy, nie miałem wcale na myśli, aby doszły, chciałem tylko uspokoić niemi żonę, aby ją tem łatwiej odzyskać; w tej chwili jest już pod moim dachem i komplancją możecie sobie zostawić jako pomnik waszej przebiegłości.

To mówiąc odwrócił się z ukłonem Maleparta, a Zawada osłupiały, nie wiedząc co dalej począć, stał w miejscu.

— Cóż myślicie? — przydał po chwili — znajdzie się przecie kto, co się nad tą nieszczęśliwą ulituje i w jej imieniu przeciw wam stanie.

— Ciekawym jak to być może, kiedy ona w moim ręku i gdy zechce stawić ją bede lub przyniosę jej zeznanie, że nic jej nie pozostaje do życzenia. A zatem, służby moje powolne.

To mówiąc skłonił się z ndaną uniżonością Maleparta, a Zawada wyjść musiał zgryziony i pomieszany niepowodzeniem, które swojej niezręczności przypisywał.

Chód jęgo usłyszawszy na wschodach, mecenas wyjął klucz z kieszeni i wszedł do alkierza, w którym Róża siedząc na ziemi płakała.

— Przyszedłem z waćpanią pogadać — odezwał się do niej — potrzeba nam się porozumieć i po długiem rozstaniu powitać. Wieleś mi waćpani kłopotów, kosztów i zgryzoty svojem szaleństwem napędziła na głowę.

Musiałem się dobrze upocić, nimem ją odzyskał, ale nie myślcie, abym to dla jej pięknych oczów czynił: zrobiłem to dla majątku. Jestem otwarty, widzicie. Musiemy żyć razem, porozumiejmyż się nadal mościa pańi. Nie katowałem, nie biłem, nie męczyłem, a żem zamykał, pokazało się sprawiedliwie i za mało jeszcze, kiedyś mimo tego miała czas brać podarki od obcych i nakoniec uciec z domu. Nie ma się więc na co skarżyć.

— O! zapewne nie ma — odpowiedziała powstając żywo, i z niezwykłą energią przemawiając Różia, której zrozpaczone położenie sił dodało. — Tak! byłeś mi dobrym, troskliwym, najłagodniejszym, najwyrozumiałszym z mężów! Nie ty zabiłeś moją matkę swoim tyrańskim obojęciem, nie ty zabiłeś człowieka, co mi chciał z miłosierdzia do wyrwania się z tej niewoli dopomódz. Nie ty zabrałeś majątności i morzyłeś nas głodem! Mnie to mniejsza, bodajbyś był umorzył, byłabym ci konając dziękowała; ale matkę moję, starą, biedną matkę, której pogrzebn nie chciałeś zapłacić. I za to wszystko coś dla mnie uczynił, możesz-że się spodziewać uległości, przywiązania?

— Przywiązania ja wcale nie chcę, a do uległości nie namawiam, ani proszę, bo się sam o nią postaram — zawołał rozjątrzony Maleparta.

— Pilnij mię więc — odezwiała się kobieta — zamykaj, bo ci wręcz powiadam, że gdy będę mogła, ucieknę.

— Zdaje mi się jednak, że nie będziesz mogła i to mnie uspokaja — złośliwie rzekł Maleparta. — W oknie krata, n drzwi rygle, zapewnię że nie ncieczesz. Tymczasem, na wszelki wypadek, dopełnić potrzeba tego, czegoś dawniej nie zrobił, nadto jej ufając. Podpiszesz mi to — rzekł podsuwając jej papier i pióro.

— Nic ci nie podpisze! zawołała żona.

Maleparta wtrząsł się z gniewu.

— Rozmyśl się co mówisz! Jesteś w moim ręku i sama wiesz, że mnie nie nstraszy śmierć twoja. Zabiłem jęgo, zabiłem matkę powiadasz, mogę zabić

ciebie.

— Zabij więc — krzyknęła Różia podchodząc, ale wiedz, że postrachem śmierci uawet, nie wymożesz na mnie żadnego podpisu. Chcesz majątności, nie będziesz jej miał nigdy!

— Będę ją miał! zawołał mecenas, wrac gniewem— jeśli nie strachem, to głodem wymogę na tobie czego chcę.

— Niczem!

— Słuchaj, przerwał mecenas porywając ją za rękę, nie myśl walczyć ze mną. Nikt jeszcze mi nie pożył i silniejszy od ciebie upadł. — Słabej kobiecie...

— Pan Bóg sił doda, matka je u niego uprosi.

— Nie boję się takich pomocników — zawołał zajątrzonu — wyzywam ich!

Różia na te słowa padła na ziemię znouu i zmógłszy się płakała. Maleparta z papierem stał nad nią.

— Nie podpiszesz?

— Nigdy!

— Będę cię męczył.

— Mecz jak chcesz.

— To ostatnie słowo?

— Ostatnie, rób co chcesz.

— Daję ci dwa dni rozmyślu.

— Możesz mi ich nie dawać.

— Mam litość uad twojem głupstwem. — To mówiąc choć wahając się i ociągając wyszedł z alkierza, zamknąwszy drzwi na rygiel za sobą. W chwilę powrócił uiosąc dzbanek wody i kawałek zapleśniałego chleba.

— To pożywienie dla ciebie.

Różia okiem na niego nie rzuciła; rozjątrzonu tym ciąglým oporem, zatrzasnął drzwi i wyszedł.

Nazajutrz rano, znouu z papierem w ręku odrygłował alkierz i stanął przed Rózią. Jak wczoraj ona siedziała na ziemi, twarz miała bladą, zmęczoną, bo całą noc bez posłania spędziła oparta o ścianę, i w ustach nie miała, ale w oczach jej gorączkowy błyszczał płomień.

— Namysłilaś się?

Ona nie nie odpowiedziała.

— Namysłiłaś się? — powtórzył.

— Namysłiłam, rzekła podnosząc głowę.

— Podpiszesz?

— Nigdy!

— Jeszcześ niedość głodna — rzekł Maleparta — poczekajmy do jutra.

I wyszedł znowu spojrzawszy na dzbanek z wodą i chleb, które stały nietknięte. Pomimo złości coraz powiększającej się oporem, zaczynał być niespokojny. Lękał się aby uparta kobieta głodem się nie zamorzyła, i postanowił, po swojemu, zażyć ją innym sposobem.

Na drugi dzień, z łagodniejszym obliczem, wsunął się do izby. Zastał Rózię na tem samem miejscu co wczora siedzącą, a dzbanek i chleb nietknięty.

— Namysłiłaś się? — spytał.

— Namysłiłam — odpowiedziała słabym głosem — nie podpisze.

— I chcesz się głodem zamorzyć?

— Nie ja, ty mnie morzysz głodem.

— Masz chleb i wodę, właśnie pokarm pokutnicy, jaką jesteś: więcej ci nie potrzeba. Ale chcę mieć litość nad tobą.

— Ty? — przerwała kobieta.

— Tak, ja: podpisz, a będziesz wolną. Idź gdzie chcesz!

— Nie chcę swobody i nie podpiszę.

Maleparta nie pojmował odpowiedzi.

— Nie chcesz być wolną? — spytał.

— Tak, nie chcę, bo pókiś ty na świecie, któż mnie zapewni że dotrzymasz co przyrzekasz? Wypuść mnie, a w ówczas...

— A w ówczas? — podchwycił mecenas chciwie nadstawiając ucha.

— W ówczas, będziem mówić o tem.

— Któż mnie zapewni, że wolna zechcesz podpisać?

Rózia pogardliwie na niego spojrzała.

— Słuchaj — dodał — nie wyobrażaj sobie abyś mnie

uporem swoim przemódz miała albo ustraszyć, musisz podpisać czy prędzej czy później.

— Nigdy! nigdy!

— Zobaczymy — zawołał Maleparta zamykając drzwi — zobaczymy.

Tak dni kilka minęły, w próżnych ze strony męża postrachach, naleganiach, perswazjach, w ciągle jednostajnym od żony oporze, chleb i woda wystarczały jej do nędznego życia, modliła się i płakała. Straszne było to życie samotnicy, co niczyjej twarzy prócz nienawistnego męża nie widziała, niczyjego prócz jego nie słyszała głosu, i nic nie widziała, prócz ścian izby, przypominającej jej okropną śmierć matki. Długie noce, czarne, nieprzerwane niczem, do szaleństwa prawie ją przywodziły i jedną pociechą w tej niewoli była modlitwa i łzy. Osłabiona coraz bardziej czuła w sobie upadające siły, i napróżno utrzymać się przy swoim starała. Co dzień słabszym głosem odpowiadała na jednostajnie powtarzające pytanie Maleparty — podpisz? dotąd jednostajnie jeszcze:

— Nigdy! nigdy!

Przewidywała już jednak chwilę, w której znużona, nie potrafi wyrzec tego słowa. Mecenaz jęczący oporem, poglądał z podziwieniem na tę słabą istotę, tyle siły duszy mającą. Co dzień spodziewał się ją przemódz, co dzień odchodził bardziej rozgniewany. Nareszcie znużył się i znecierpliwiał i postanowił nie zaglądać więcej do alkierza. Posyłał jedzenie przez starą kobietę służącą, a sam nie ukazywał się więcej. Różna rada z początku że go nie widziała, w końcu niespokojniejszą być zaczęła. Domyślała się czegoś groźnego jej, czego nawet wyobrazić sobie nie umiała. Lękała się tem bardziej, że nie wiedziała czego. Dnie tymczasem płynęły jeden po drugim jednostajnie, a Maleparta zdawał się zapominać o niej.

— Czekajmy — rzekł w sobie — dłuższego na to czasu potrzeba: prędzej ona znuży się cierpieniem, niż ja oczekiwaniem.

To powiedziawszy i upewniwszy się że żona drugi

raz uciec nie może. Maleparta wziął się do spraw swoich i cudzych po dawnemu. Zajęcie stłumiło w nim, jeźli jakie były zgryzoty; czas upływający i unoszący z sobą pamięć niedawno dopełnionych wypadków, a mianowicie zasadzki, w której zginął Szczuka, uspokajał go: cały się więc rzucił znowu w procesa. Rząd też majątków, jakie nabył, po żonie wziął, i dostał od starosty Wilskiego za proces z panem Stanisławem, zajmował mu nie mało czasu. Niedowierzający nikomu, nieustannie szperał w rachunkach i rejestrach. wyrzucał oficjalistów, nowych stanowił, posesorów procesował i wywłaszczał, a pieniądze zebrane albo na zastawy żydom rozdawał, albo na nowe kupna obracał.

Na rogu domu w zamczystej izbie sklepionej, której jedyne okno gęstą wilkami opatrzoną kratą i żelazną okiennicą wewnątrz uzbrojone było, znajdował się skład zastawnych rzeczy. Fanty te narzucone na kupy ogromne, leżały tam nieruszone do wyjścia terminu, po którym sprzedawane były. Znalazłeś tam i futra kosztowne i perły żydowic i suknie i żelaztvo i srebra i sprzęty wszelkiego rodzaju. Najmniejsze jak największe pożyczal kwoty Maleparta. byle zastaw we dwoje przenosił sumę nań daną.

Nabycia majątności nie dopełniał też ten człowiek, zwyczajnym sposobem, uczciwie. Zwykle kupował od zrujnowanych, lub przyjmował na siebie obarczone procesami i długami substancje za niską cenę: potem ze zręcznością jurysty wyprowadzał się z procesów, spychał unieważniając długi, wchodził z kredytorami w korzystne układy, i tak opanowywał dobra ogromne.

Starosta Wilski odziedziczywszy po panu Stanisławie Górskim majątności, z których wydział dwóch wsi mecenasowi uczynił, wkrótce potem padł sam ofiarą Maleparty, co przeciw niemu podjął się procesu krewnych Górskiego; dokumentom przez siebie sfałszowanym, zadał sam fałsz, wygrał i ze stroną podzielił się znowu, podejmując prowadzenia dalszego interesów i wywieżenia jej z długów. Umocowany, przekonał że tak prędko zrobić nie może, co przyrzekł. a tymczasem

zagmatwawszy gorzej jeszcze i tak nie łatwe do rozwikłania interesa, gdy sukcesorowie domagali się ukazania rezultatów, przedstawił im rachunki dowodzące, że bardzo znaczną na ich korzyść, bez żadnego skutku widocznego — wyłożył sumę. Widząc oni, że co dalej to gorzej być dla nich może, musieli przystąpić do układów, z których Maleparta wyniósł znowu znaczną część ziemskiego majątku. Tak w krótkim czasie ogromnie się zbożcił, a jednak sposobu życia w niczem jeszcze nie odmienił.

Rózia w izdebce swej zawsze zamknięta, ale niewidując się wcale z mężem, który tylko klucz od alkierza przy sobie trzymał, do niego nie zaglądając, wpadła w posępną jakąś obojętność, w odrętwienie. Na nie to podobno rachował najwięcej Maleparta i po długim przeciągu czasu, sądząc że już dość czekał, zjawił się jednego ranka znowu z papierem w ręku przed żoną. A naprzód spojrział na nią badając wzrokiem postępów cierpienia i oznak słabości. Ujrzał ją wychudłą, bladą, zestarlałą przedwcześnie, ale spokojną.

— Namysłiliś się? spytał, miałaś na to dosyć czasu.

Rózia podniosła głowę w milczeniu.

— Podpisesz?

— Nigdy — odpowiedziała krótko i spuściła głowę.

— To nie była męka jeszcze, to wstęp do niej — rzekł Maleparta.

— Wiem, — odpowiedziała kobieta — i czekam na to coś mi zgotował: wiem że sie wszystkiego po tobie spodziewać mogę.

— Nie mylisz się. Podpisz więc.

— Nigdy!

— Wolisz więc nędzuie zamrzeć? — rzekł mecenas.

— Wolę.

— Niż raz być posłuszną?

— Niż pokazać się słabą. Nic ci się nie oparło na świecie, prócz jednej kobiety. Chcę abyś się upamiętał moim oporem.

— Zapewne! — krzyknął Maleparta. — Waćpani wiesz że mnie nigdy przemódz nie można, wiesz

o co mi chodzi — o twój podpis. Cóż dla mnie łatwiejszego, jak ten podpis położyć i znaleźć świadków, co własnoręczność zaprzysięgną jeżeli będzie potrzeba?

— Ja temu zaprzeczę! — zawołała kobieta.

— Zaprzeczyłabyś gdybyś mogła — rzekł zimno Maleparta — ale z tej izby zamkniętej, z której nie wyjdiesz więcej, pytam się jak zaprzeczyć mi możesz?

Różia upadła na ziemię znowu.

— Nie potrzebujesz mego podpisu, zawołała, i obejdź się bez niego.

— Nie potrzebuję i obejdę się.

Po tych słowach wyszedł, wracając od gniewu i pojąc nie mogąc uporu słabej kobiety.

Ale trudniej niż mu się zdawało, pokonać było postanowienie Rózi, co już nic do stracenia nie miała, co nie lękała się większych cierpień, bo zniosła największe i wpadła była w ten stan otrętwienia, w którym nic na człowieka nie działa. Niewolnica, pozbawiona wszystkiego, wyglądała śmierci, jako końca cierpieniom w ciągłej modlitwie, przygotowując się do niej... Maleparta tymczasem szedł dalej swoją drogą, powiększając majątności, wiodąc procesa i niespotykając zawady na drodze nieprawości. Życie jego było ciągłą walką i ciągłym, nzuchwalającym go do nowej, zwycięstwem; nic mu się oprzeć nie mogło, broił bezkarnie, naśmiewał się z pocziwych, i im dłużej to trwalo, tem śmielszy brnął dalej, a dalej.

ROZDZIAŁ VIII.

W całym życiu Maleparty nie było, można powiedzieć, jednej chwili innem uczuciem, inną myślą zapelnionej, nad uczucie miłości własnej i myśl zapewnienia sobie niezależności, zebraniem pieniędzy. Poświęciwszy temu celowi wszystką pracę, starania, smnienie, pocziwość, doszedł wreszcie do tego czego nawet nie marzył nigdy, do ogromnej fortuny, która go czyniła panem. Nie używał jej jednak, bo z wzrostem majątku, powiększały się żądze i nigdy dosyć nie było. Nie założył sobie kresu, nie umiał zadowolnić się tem co miał: a posiadając majątek, którego sam dokładnie wartości nie znał, użyć go nie umiał; uczył wreszcie jakąś niespokojność, niepewność co począć dalej, uczył w życiu swem brak celu. To co posiadał nie zaspokajało go, pożądał więcej, dorozumiewając się że i to go nie zaspokoi.

W tym właśnie czasie opanowała go ta myśl natrętna — co będzie dalej? i niepokój wewnętrzny. Szukał sobie celu nowego, dostąpiwszy założonego wprzód, a niezadowolony nim będąc. Ludzie co dawniej pogardzali Malepartą, co oburzali się na sposoby jakimi doszedł do majątku, co krzyczeli na postępki jego z p. Stanisławem Górskim, z żoną, ze starostą wileńskim — teraz gdy ujrzeli w jego rękach tak wielką fortunę, gdy go zobaczyli tak bogatym, poczęli zwyczajem swoim powoli wymawiać go i z początku zdaleka, potem zbliżka mu się kłaniać. Maleparta uzyskał ten rodzaj szacunku publicznego, jaki daje choć źle nabyta fortuna i choć na źle użyty talent. Znaleźli się tacy, co poczęli mecenasa wymawiać, stawać w jego

obronie, uczynki jego w nowem wystawiać światło i dowodzić: że opinia publiczna przesadziła potępieniem zupełnem tego człowieka. Tak zawsze się dzieje; zwycięzca choć w najgorszej sprawie, prędzej później zyskuje sympatją ogółu: zwyciężony, jak biedny psisko, na którego jeden się porwał, a wszyscy gryzą — upada. Jest coś szczególnego, coś zwierzęcego w ludzkim sercu: niech kto ginie śmieją się, niech kto się wznosi, Bóg wie jakimi środkami, poklaskują.

Tak właśnie stało się z Malepartą, któremu wielka fortuna stała się tarczą i zasłoną. Ludzie nawykli do niego, oswobili się z niepoczciwością uczynków, a uwielbiali wielkość skutków. Wynoszono człowieka, co jedną siłą woli i talentu, z mizernego żebraka, wznosił się na pana, i wynawiano niepoczciwość brakiem wychowania, sieroctwem i t. p.

A gdy ogół poczynął się zbliżać do Maleparty i odpychać go poprzestał, on sam właśnie z siebie poczynął być nie rad, niespokojny o przyszłość, która go nie zajmowała, bo w niej do osiągnięcia celu nie widział. Chwila to była w życiu tego człowieka stanowcza, ale zostawiony bez wpływu niczyjego sam sobie, nie mógł z niej wynieść lepszym. Rzucił tylko spojrzenie w świat i popytał siebie, jakie są cele życia innych ludzi, i czyli dla innych także majątek jest jedyną pasją?

Szukając znalazł, że wiele jest innych namiętności, wiodących ludzi do poświęcenia wszystkiego i nasyce- niem stanowiących choć chwilowe szczęście. Ujrzał że jedni święcą wszystko dla kobiet, drudzy dla honorów i ambicji. Ale pojmując chęć wzniesienia się i wywyższenia, nie mógł pojąć Maleparta nigdy miłości namiętnej ku kobiecie. Wzbudzało w nim to uczucie ciekawość niespokojną, żądze poznania go. Nigdy nie kochał, nigdy nawet chwilowo nie poglądał na żadną z kobiet okiem żądzy, nie znał co to nawet zwierzęca pasja. Ciekawy był, czyli i na nim mogła jaka uczynić wrażenie kobieta.

Badając się, przypominał, że w pierwszych chwilach po poznaniu Rózi, obudziło się w nim jakieś nie-

kompletne uczucie pragnienia. wprędce zagasłe bez skutków. Usiłował je wznowić i zbliżyć się do żony.

— Powolnie więc łżejszą coraz czynił jej niewolę, natchniony ciekawością raczej niż innem uczuciem, jakżeśmy powiedzieli. postarał się dla Rózi o wszystko co do wygod potrzebne było. Niewiele to kosztowało. bo izba w której fanty złożone były dostarczyła towarów, sprzętów, sukien i strojów. Posyłając Rózi to wszystko przez służę, sam się nie pokazywał jej jeszcze — ona stale odpychała wszystko, i dziwił się Maleparta dowiadując od starej posłanniczki, że żona nic z jego darów do ręki nie wzięła. Postanowił narreszcie sam być u niej.

— Mniejsza tam o tę głupią moją fantazję spróbowania miłości, bo to musi być dzieciństwo i nie stoje o to. Ależ moja łagodność powinna by upamiętać tę kobietę i przywieść do zgodzenia się na ten podpis, którego siłą wymódz nie potrafiłem.

Tak w tej chwili nawet, rachował jeszcze i spekulował.

W izbie Rózi znalazł on wszystko jak było: przysłane przez niego dary leżały nietknięte w kącie na kupie, ona w podartej sukni, blada, siedziała w kątku na dawnym swoim miejscu. Na widok Maleparty. podniosła oczy i spuściła je szybko wzdrygając się.

— Napróżno przychodzisz — odezwiała się — nie podpisze.

— Nie przychodzę po podpis twój — odparł mecenas.

— O! nie zwiedziesz mnie — odpowiedziała.

— Masz prawo mi nie wierzyć, rzekł Maleparta, ale czas cię przekona żem się odmienił bardzo.

— Kłamiesz jak zawsze.

— Nie ma więc sposobu na upór, rzekł dalej mecenas: jam się zmienił, ciebie dobre obejście odmienić nie potrafiło, jak złe nie mogło zmiękczyć. Nie wierzysz mi?

— Nie wierzę.

— Skarżyłaś się nie raz na złe obejście, na niedostatek. na ubóstwo, opuszczenie. czemuż nie korzy-

stasz z tego co ci daje?

— Bo to mam od ciebie.

— Także mnie nienawidzisz?

— Nienawidzę, gardzę tobą.

Maleparta hamował swój gniew i wyszedł mówiąc:

— Masz słuszość!

Krótką tą rozmową, wielce zadziwiła Rózię, domyślała się ona zdrady i pod tąż nową odmianą. nie wierzyła jej, a mimo tego myślała czemu i jak doszedł do niej Maleparta.

— Chce mnie pokonać łagodnością, przekupić — mówiła w duchu — ale i to na próżno!

Potem myślała i myślała długo, a pocziwie jej serce wzdrygało się na domysł, że może on prawdziwie stał się lepszym, a ona grzeszy nie wierząc poprawie. Upływały dnie, tygodnie, miesiące. Maleparta już się nie pokazywał, ale nie zmienił sposobu postępowania swego, owszem zdawał się usilnie pracować, aby przekonać Rózię, że chciał być dla niej nadal całę innym. Z alkierza przeniósł ją do dawnej izby, którą zajmowała przed śmiercią matka, zebrawszy się na wyporządzenie jej, co się wspaniałem prawie wydawało po zagiej izdebce. — Nie zamykał jej już na klucz, a choć pilny był dozór nad nieszczęśliwą niewolnicą, ona go przynajmniej nie widziała. Znalazła przygotowane suknie świeże, porządeczki i ochędóztwo białogłowskie. (jak je podówczas zwano) nawet klejnociki w szufladce puzderka. Wszystko to było z zastaw żydowskich, poprzerabiane w części, w części odczyszczone tylko: innych potrzeb dostarczyli żydzi, bo Maleparta pożyczając potrzebnym pieniędzy, narzucał na nich rozmaite kontrybucje, krom procentów.

Rózia, która z początku wzbraniała się dotykać rzeczy przesyłanych przez męża, mimowolnie potem z musu użyć ich zagnęła, nareszcie machinalnie do nich nazwyczaja się. Ale nżywając myślała zawsze, że w tym jest ukryta zdrada, tajny cel jakiś. Tymczasem Maleparta nie wchodził prawie, nie ukazywał się i niczego nie żądał. Rózia zaczynała przypuszczać,

że się jej mąż upamiętał i poprawił. W istocie jeżeli nie na lepsze, była w nim zmiana na inne i zubożetniał trochę, stawszy się bogatym i szukając nowego nasylenia, podbudzając w sobie nową namietność, której jeszcze nie doznawał, łatwiejszym się stał dla otaczających go. Starając się jednak przypodobać Rózi, i sądząc że kiedykolwiek wzbudzi w niej choć cień przywiązania, milił się wielce. Między niemi była nieprzeżyta zaporą — pamięć nieszczęścia dawnego, i pamięć cierpienia matki.

Ona mu zaledwie przebaczyć mogła.

Napróżno mecenas starał się przypodobać, napróżno przybierał postać najłagodniejszą, najwymuszeńszy uśmiech: ze strachem patrzyła Różia na niego zawsze, przewidując zdradę tylko, gdzie jej nawet nie było. Postrzegł to Maleparta i zawahał się co miał dalej czynić, gdy nieprzewidziana okoliczność zmieniła postać rzeczy.

Mówiliśmy jak przyszedł on do myśli, że są inne na świecie zajmujące ludzi namietności, jak nienasycony mieniem, zapragnął poznać kobiety i spróbować tej miłości którą po zwierzęcemu tylko pojmował. Ta myśl chodziła z nim ciągle, piekła go i niespokoiła. Razu jednego gdy wracał z sądów i zamysłony szedł ulicą ku domowi, postrzegł przed sobą kobietę. Nie wiem dla czego postać jej i ruchy uderzyły go, bo twarzy nawet nie widział. Szła niosłszy nieco sukni, aby jej nie ubłocić, krokiem śmiałym. Ubrana była wykwiennie choć niesmaczno, a strój rysował korzystnie trochę pospolite jej wdzięki. Miała na sobie jubkę pół atlasową z futerką, kilka sznurków koralu na szyi, spodniczkę jedwabną, a długie dwa warkocze czarne spadające do kolan, przeplatane wstążkami, świadczyły że była niezamężną. Na ręku miała haftowaną tuwalnię, jakie noszono zwykle wychodząc na miasto. Strój jej okazywał bogatą mieszczańską córkę. Gdy się odwróciła, Maleparta postrzegł rumianą i pełną, regularnych choć nie szlachetnych rysów twarzyczkę, uśmiechającą się oczyma i usty różowemi, z pod których przeglądały

białe ząbki. Podobała mu się; powiódł za nią okiem i zatrzymał się, śledząc dokąd wejdzie. Ona także zwracając często głowę, bo wiedziała kto na nią patrzył, o kilka kroków otwarła drzwi kamienicy i spojrzawszy jeszcze na Malepartę, skryła się w niej.

Czekał mecenas długo, czyli nie wyjdzie znowu, a upewniwszy się że tam mieszka, bo dziewczyna wkrótce w innym stroju ukazała się z okna, wrócił do siebie. Odtąd spotykali się często w ulicy, pozdrawiali wzajemnie. a wyszczekana mieszcanka, śmiała, żywa, niczego się nielekająca, niedająca się skrzywdzić i nie-darująca słowa żeby nań dziesięciu nie odpowiedziała, podobała się coraz bardziej Maleparcie. Tantej po-chlebiało, że sławny na całej ulicy i w mieście bo-gacz oczy na nią obrócił; rada była znajomości i po-stanowiła z niej korzystać.

Nie wiem pod jakim pretekstem Maleparta wszedł do domu mieszczanina, ojca Nastazji, starego opoja, co cały dzień dudlił z kufła miód, zapraszając nań kogo mógł i śmiejąc się głupowato ze wszystkich i ze wszystkiego. P. Hrehory, niegdy burmistrz, a teraz spoczywający na laurach swych zasług, prosty już oby-watel miasta J. K. M. Lublina, nie nie zuaczył w swoim domu. Nastusia była odmłodzoną tylko żywym obra-zem jejność pani matki, co całe życie burmistrza za nos i za co chciała wodziła. One obie z matką rzą-dziły domem, sobą i ojcem. Jegomość spijał miód ile mu go jejność na konsumpcją codzienną wyznaczyła i o resztę się nie troszczył. Matka niegdyś tak ładna jak Nastusia i jak ona zalotna, miała gachów mnóstwo, przez pamięć też na to, dozwalała córce robić co się jej podobało. Nastusia wychodziła kiedy i dokąd chciała, sama wprowadzała do domu znajomych swoich, matka ani ojciec nie mieszała się do tego, a jeśli wypadkiem powiedziała co jejność, Nastusia dwakroć tyle odpo-wiedzieć potrafiła, zuchwale, śmiało i bez najmniej-szego strachu. Jegomość jak ze wszystkiego tak i z tego śmiał się. Po trzeźwym milezący i ponury, po pijanym wyrozumiały był i niepokonanej wesołości.

Widok tylko wszechmocnej żony, zwiększając z początku śmiech, w końcu go niepokoił i mieszał. Jak tylko Maleparta stąpił na próg domu, matka z córką powiedziały sobie — nie puścim go więcej. Jejmość uczyła Nastusię i zachęcała do chwalebnego uczynku.

— W twoim wieku, Naściu, ja bym dopiero pokazała, co to może kobieta, gdyby mi taki złoty cieler wpadł w ręce, potrafiłabym go splątać i związać, wysączyć z niego do ostatniego grosza. Taż to mówią: że bogaty jak król albo Marszałek trybunalski, i że u niego jest cała jedna izba pełna pieniędzy.

— Już nie bójcie się matni — odpowiadała Nastusia — ręczę ci, że go przywabię. Cóż to macie mnie za taką głupią, żebym nawet starego nie potrafiła przytłubić?

— A no, zobaczmy.

Na to odzywał się z kąta śmiejąc pan Hrehory:

— Otóż ciekawy jestem! bardzo jestem ciekawy!

— Ale on żonaty słyszę! — dodawał po chwili.

— To co że żonaty? — pytała jejmość.

— Już to ja wiem że żonaty, ale nie lubi słysze żony?

— To tem lepiej że żonaty — odezwała się jejmość — takich najlepiej doić, bo się taić muszą.

Maleparta łatwo się porozumiał ze stworzoną dla niego kobietą, równie jak on przewrotną, fałszywą i zimną, co kłamała jak on całe życie, oczyma i ustami. Naścia udala że go kocha, on udawał że jej wierzy. rodzice udawali że nic nie widzieli. Wszyscy byli z siebie bardzo radzi i cieszyli się przyszłością. Wkrótce mecenas u kolan Naści w bokówce zaczął przesiadywać dnie i wieczory, aż potem miłośnicę wprowadzał do swego domu bezwstydnie. O ścianie od komnaty żony rozlegały się śmiechy wesołej Naści. Z początku uszom swym słysząc je nie chciała wierzyć Rózia, a przekonawszy, że się nie myliła, nasłuchawszy mimowolnie dziwnych dla niej rozmów, wzdrygnęła się pierwszy raz przekonywając, że są na świecie kobiety, jakich się egzystencji nie domyślała.

— ni się kochają — zawołała w duszy. — Jest więc kobieta co go kochać może! którą on kocha! To niepojęta!

Maleparta wcale się nie krył ze swemi postępki i nie taił przed światem i żoną, że Naścia była jego kochanką. Coraz częściej przebywając u mecenasa, mieszcanka przeniosła się nareszcie do niego i zachciała izby, którą zajmowała Różia. Wypchnięto więc biedną do alkierza znowu, odebrano jej sprzęty i suknie i oddano Naści. Żona podwójnie niewolnica, nie mogąc się ruszyć aby nie była widzianą od zalotnicy, a kryć się przed nią nawet do swojego alkierza nie miała prawa, bo w każdym czasie wejść do niego wolno było Naści i przytomnością swoją, szyderstwami, nieprzystojnemi żartami, urągać nieszczęśliwej. Różia znosiła to nowe cierpienie odważnie i nie narzekając na nie, poddała się przeznaczeniu swojemu. A gdy ona modliła się płacząc, obok niej swawolna Naścia uncila piosnkę wesolą, lub błaznowała z domowemi, wywrócona na łóżku, gryząc w ustach smażony imbir lub tatarskie ziele. Ciągnęła ona co mogła z Maleparty dla siebie i matki, a wszystko co zyskała, odsyłała do domu; czego wymódz nie potrafiła, chwytiała w pół żartem, w pół siłą. Mecenasz jeszcze się jej oprzeć nie umiał, pierwsza to była i późna miłość, a Naścia nadto mu się podobała, aby się jej tak przedko chciał pozbyć. Wolne godziny spędził słuchając niezamykającej się nigdy gęby wyszczekanej mieszczeni.

Ona nie obruszała się jak inni na jego czynności, nie tajała mu nigdy, wyśmiewała się ze wszystkich i poklaskiwała podłemu oszukaństwu, byle by się ono wypłacało pieniędzmi. Pomimo jednak namiętności, jakiej się dał opanować, Maleparta nie zaufał nigdy zupełnie swej miłośnicy. Napróżno się ona starała podkraść w nie, napróżno poddawała myśl zostawienia jej kluczków, powierzenia pieniędzy, Maleparta kosztował, łodowacił na to, i nic nie odpowiadał, a Naścia miarkowała, że niebezpiecznie byłoby napierać się więcej.

Tymczasem wszelkiemi sposobami skarbiąc sobie serce

Maleparty, kochanka wynajdowała coraz co nowego na nieszczęśliwą Rózię, którą wyśmiewała i potwarzała nielitościwie, donosząc największe na nią fałsze, bo pewna była, że ona nie zechce się nawet usprawiedliwiać, i wiedzieć o oskarżeniu nie będzie.

Maleparta wkrótce nałogowie przywiązawszy się do tej kobiety, która niewyczerpaną swą wesołością, chmury często po jego czole błędzące rozpędzała, zapominał zupełnie że miał żonę. Rózia stała się przedmiotem pośmiewiska dla obojga i to tylko miała, co Naścia z łaski swojej mieć dozwalała. Nie upokorzyła się jednak przed nią i gdy obrażona jej dumą mieszcza, usiłowała coraz surowszem obejściem zmusić do uznania władzy nad sobą, Rózia ścierpiiała wszystko, nie mówiąc słowa, nie okazując że cierpi. Często w pół pijana, rozczochrana, z nagą piersią, rozrzuconym włosiem, z bestjałskim uśmiechem na czerwonych ustach, kochanka Maleparty, godna jego miłości i uścisków, wpadała do izdebki Rózi i wśród pacierzy, nucila jej nad nchem piosnkę swawolną. Tamta nie obruszyła się, siedziała milcząca, jakby nie widziała i nie słyszała.

Mecenas na wszystko dozwalał ulubionej Naści. Czego na nim wymódz nie potrafiła łzami i prośbą, tego łatwo dopięła uśmiechem, żartami, rozweselając go wtedy nawet, kiedy go najczarniejsze dręczyły myśli i ciężkie dusiły wspomnienia. Z nią nauczył się powoli zalewać trunkiem smutnienie i pamięć; nigdy jednak nie tracił tak dalece przytomności, aby puścić z rąk klucze, lub dał więcej niż chciał i zamierzał. Sama Naścia głaszcząc go pod brodę, zowiąc najslodszeimi wyrazy, nie wymogła daru większego nad wyznaczony jej z góry. Maleparta skąpo nawet za miłość płacił i dziewczyna, gdyby nie nadzieje w przyszłości, porzuciłby go musiała, bo matka uskarżała się na skąpstwo i co dzień gorzkie jej robiła wymówki, że nie pamiętała na jutro. Naścia odpowiadała jednostajnie:

— Poczekajcie, niech no go do reszty obalamucę!

Lecz obalamuccić nie mogła; a gdy raz w pilnej

potrzebie jejmość pani burmistrzowa zażądała od Maleparty pieniędzy, wyprawił ją z kwitkiem nic nie dawszy. Naścia pocieszała przyszłością: — poczekajcie, mówiła, poczekajcie, ta chirlawa jejmość umrze pewnie, a on się ze mną ożeni: dopiero zobaczycie jak go skubać będziemy!

Różia w istocie zdawała się blisko końca cierpień, miała suchoty. Maleparta niepokoił się, że nie wymógł podpisu, lecz ilekroć przyszedł po niego, odpowiadała mu jednem swem: — Nigdy!

— Będę zmuszony podpis sfabrykować, — mówił w duchu. — Prawdziwie, że tego nie chciałem, ale muszę; któż winien, sama ona z tym przeklętym uporem swoim!

A im Różia umiała się gorzej, tem częściej Maleparta jej dokuczał; zawsze napróżno dokuczała Naścia — bezskutecznie.

Położyła się wreszcie biedna na łożu, z którego wstać dla osłabienia nie mogła; nie prosiła o lekarza, sam Maleparta, któremu o ten podpis chodziło, zawołał go. Lekarz zapisał lekarstwa, ona ich brać nie chciała. Napróżno groził, lajał, fukał, odepchnęła je i powiedziała:

— Czas mi umrzeć, chcę śmierci!

Wziął się tedy mecenas na fortel i posłał po księdza Józefa.

— Tatniu, rzekł mu, żona moja kocha, sprowadziłem przez troskliwość lekarza, zapisał co było potrzeba, nie chce brać lekarstwa. Powiedzcież jej proszę, że samobójstwo takie jest grzechem.

Ojciec Józef zdziwiony temi słowy, poszedł do Rózi, i łagodnie tłumaczył jej, że nikt nie ma prawa skracać sobie życie choćby dla uchylecia się od cierpień, bo Bóg zsyla cierpienie i znosić je szanując Jego potrzebę.

— To prawda ojcze, to prawda! ozwała się chora — ale nie wiecie mojego nędznego życia, moich męczarni, mojej nędzy! Ten człowiek chce abym żyła, dla tego aby mnie męczył dłużej, aby mnie upokarzał, aby mi uragał swoją rozpustą, i czynił pośmiewisko bezwstydnie.

Nie mogę żyć! Bóg sam zsyła mi śmierć pożądaną, na cóż się jej opierać?

Ojciec Józef, któremu patrząc na biedną kobietę, łzy stawały w oczach, nie miał siły mówić dalej. Przyjął on spowiedź chorej i dał jej rozgrzeszenie i błogosławieństwo. Z obowiązku wychodząc, radził jeszcze przyjąć rady lekarza i niespieszyć się ze śmiercią.

— Moje dziecko, rzekł, Bóg wie dla czego co czyni, może chce utrzymać cię przy życiu, aby ci je osłodzić.

Chora potrząsała głową i padła na posłanie płacząc.

— Nie chcę nic, zawołała, tylko pójść do matki, tylko umrzeć i skończyć!!

Tejże nocy Bóg się zlitował nad nią: skończyła, tak że nikt o jej śmierci nie wiedział i nazajutrz dopiero rano wnosząc jej ranny posiłek, sługa postrzegła zimne bez duszy ciało wyciągnięte na twardej pościeli.

Dano znać Maleparcie; machnął ręką, ruszył ramionami i wybiegł natychmiast z domu, rozkazawszy wynieść ciało i przygotować co było potrzeba do pogrzebu. Pospieszył on do p. Czubaka, który mu podpis na tranzakcji wieczysto sprzedażnej dołożył, a świadkowie do niej łatwo się znaleźli. Spokojniejszy potem wrócił do domu i przeciwko oczekiwaniu wszystkich, jak najwspanialszy zamówił pogrzeb. Trumnę obito aksamitem, kościół farny kirem, tysiące lamp gorzało, zakony szły za ciałem, były i mowy pochwalne i herbowne znaki i muzyka i msze i dzwony! Dawno już tak wspaniałego nie widziano pogrzebu, tak wielkiej pompy.

Sam mąż szedł za trumną, kirem odziany, w grubej żałobie, z wielce smutną twarzą, rozdając sowite ubogim jałmużny! Ludzie powiadali:

— Patrzajcie no, taki on kochał tę żonę i próżno na niego androny plotą. Ona była niewdzięczna! Wszak uciekała z domu! Któryż to mąż proszę, takiby pogrzeb sprawił żonie niewiernej!

A gdy się dziwiono pogrzebowi przy Maleparcie, on odpowiadał:

— Moi panowie, to drobnostka, więcej winieniem jej

za przywiązanie, jakiego mi dała dowód zapisem całej swej majątności! Biedna kobieta! z snocht umarła.

I wdychał, a wszyscy powtarzali:

— Na Boga, cóż to za kalumnje wygadują na tego Malepartę. Tać to zacny i pocziwy człowiek, a jak umiał tej żonie przebaczyć!

Tych co lepiej uwiadomieni szeptali o Naści, o ostatnich chwilach Rózi, o jej cierpieniach, tłum zakrzykiwał:

— Zmilujcie się, nie dawajcie ncha tym głupim baśniom! Już ich aż do zbytku na niego natworzono. Ależ przechodzi podobieństwo i wiarę. Miarkujcie sami! Wszak widzieliście pogrzeb i żałobę!

Jednogodnie potępiono Rózię po śmierci, a pocziwego mecenasa uznano wzorem mężów; tak dobrze wyrachował on dla czego suty pogrzeb opłacił.

Naścia więc została w domu samą jedną i panią wszechwładną. Cieszyła się, roila i stojąc u lusterka dumiała już jak bogato strojna, deputatów, marszałków, cały trybunał i palestre za sobą wodzić będzie. Jak się on ze mną ożeni, jak się ożeni!!! To to będę się stroić, to to będę hulać! — Ale poczekajmy, teraz jeszcze sama przyzwoitość żenić mu się nie dozwała!

I czekała, a Maleparta był zawsze jednakim.

Upłynął czas niejaki, Naścia z radością przyznała się jejmości, że miała nadzieję zostać matką.

— Teraz to jestem pewna, dodała. że się ze mną ożeni.

— Rozmów-że się z nim, Naściuuiu, a predko.

— A rozmówię się pewnie.

— I będziemy pili na weselisku — doda! burmistrz ze czkawką.

Tegoż samego wieczora, Naścia powitawszy powracającego Malepartę nściskiem, zaśpiewawszy mu piosenkę, siadła w kącie nagle zasnucona i poczęła wdychać. Mecenasa wiedział dobrze co to znaczy, bo zwykle tym sposobem. od tego wstępni poczynwały się prośby wszelkie Naści. Zaraz więc odpędzając je nachmurzył czoło. Ale to nic nie pomogło, ona wdychała, wdycha-

chała i nareszcie ozwała się:

— Mój drogi kotku, coż ty myślisz ze mną? Wszak to ty nie wiesz pewnie że ja będę.... że wkrótce ja...

— Co? — zimno spytał Maleparta.

— Ja się spodziewam być matką.

— Tem gorzej.

— Jak to tem gorzej.

— Bo ja dzieci nie lubię, a tem bardziej takiego!..

— Jakiegoż?

— A juściż wiesz. rzekł zimno, jak się takie dziecko nazywa.

Naścia porwała się:

— Co ty gadasz?

— Co myślę.

— Chceszże aby to dziecko tak się zwało? odparła — wszakże nim ono na świat przyjdzie, ja być muszę twoją żoną.

— A toż co? — zakrzyczał porywając się Maleparta — oszalałaś czy co? Któż ci to obiecywał?

— Nie obiecywałeś mi, boś był żonaty, ale teraz, spodziewam się.

— Tego się wcale nie spodziewaj.

— Śmiałyś więc wyrzucić mnie i wypchnąć z dzieckiem. uwiodłszy?

— Co się tycze uwiedzenia, moja Naściu, rzekł Maleparta, to jeszcze rozpoznać by potrzeba, kto z nas kogo uwiódł. Poznaliśmy się, polubili, żyli z sobą, bo nam tak było dobrze, ot i kwita, a jak mi się to zrudzi...

— Ty mnie nie możesz wypędzić!

— Mnie się zdaje że mogę.

— Ja ci oczy wydre! — zawołała dziewczyna w gniewie — ja cię podpale, ja cię otruję, ja cię zabiję.

— O ho! ho! oszalałaś, czy co! — krzyknął sobie Maleparta. — Myślisz mnie straszyć! Widziałaś ty co było z tamtą? Widziałaś!

— Bo tamta była głupia.

— A tyś rozumna, nie przeczę i bardzo rozumna — odparł mecenas: — ale ja taki i od ciebie rozumniej-

szy. Daj sobie pokój jeżeli chcesz spokojnie siedzieć, a nie to ruszaj z Panem Bogiem i nie wracaj, mam już ciebie po nszy. Daj mi pokój.

Naści wcale się nie chciało tym sposobem kończyć, wypędzonej, i rozplakała się rzewnymi łzami, narzekając na niewdzięczność, na złość ludzką. Mecenas siedział i patrzył na lzy nieporuszony, kiwając głową, nareszcie rzekł:

— Widzę, moja panno, żeś taki wierutnie oszalała; chcesz koniecznie powrócić do domu.

— Nie chcę! nie chcę! nie wróć! wzięłaś mnie, zrobiłaś nieszczęśliwą, nie pójdę od ciebie więcej.

— Jak to? nigdy? zawołał Maleparta z podziwieniem zrywając się znów z siedzenia. — Nigdy? to myślisz że ja ciebie i twego bachura będę trzymał zawsze! A to pięknie! a to ślicznie! A to ty oszalałaś jak widzę!

— Rodzice nie przyjmą mnie więcej!

— Co ci się śni — toż cię rodzice i teraz przyjmą!

— W nadziei że się ze mną ożenisz.

— A ktoś im robił tę nadzieję?

— Jakżem jej mieć nie miała, żyjąc z tobą?

— Ale ktoś ci to obiecał? A to ślicznie — krzyczał Maleparta. — O tom się upłatał! To tak być nie może, póki jeszcze czas, ruszaj sobie do rodziców, bo ja cię jak widzę trzymać nie mogę. Jeszczebyś mi tu dziecko zostawiła! A co ja z niem będę robić? Bądźże zdrowa! Tego ja nie chcę.

Wskazywał na drzwi, Naścia się nie ruszała.

— Dobranoc, i ruszaj sobie moja kochana.

— Nie pójdę, nie wyrzucisz mnie przecie na ulicę, będę krzyczeć, będę płakać, ludzi sprowadzę — osławie cie.

— To, to głupstwo, rzekł Maleparta, — ruszaj sobie i krzycz.

— Gdzież chcesz żebyś poszła?

— Gdzie ci się podoba.

— Nie pójdę ztąd krokiem A jeżeli pójdę, to ze skargą, choćby do króla, po całym świecie płacząc,

narzekając na ciebie.

— Bylebyś sobie poszła.

Naścia widząc że nic nie pomaga, rozlała się znowu we łzy. rzucić mu się chciała na szyję: Maleparta odskoczył.

— A to szalona ta kobieta, żeby tak się przyczepić!

— Ty mnie już nie kochasz jak dawniej?

— Ja cię i dawniej nie kochałem.

— Ale ja ciebie kocham, ja cię nie opuszczę.

— Dajże mi pokój, wiem dobrze, że przedemną kochałeś kilku już palestrantów i po mnie łatwo się pocieszysz. Daj mi pokój i idź sobie.

— Nie chcę więc być twoją żoną, ale pozwól mi być przy sobie!

— O nigdy! — zawołał Maleparta. — Ja dzieci nie lubię, zwłaszcza takich! Daj mnie pokój i ruszaj sobie! O to ślicznie! o to ślicznie!

I płaczącą, wyrrywającą się, szamoczącą Naścię, wypchnął bez ceremonji za drzwi, które z najzimniejszą krwią za nią zaryglował i dopiero odetchnął.

— Ot tom był sobie piwa nawarzył! No! no! Nauka na przyszłość! Gadzina nie kobieta i gotowa mówić, że to moje dziecko! Słyszeliście! To zuchwalstwo niepojęte.

Nazajutrz jejmość burmistrzowa, Naścia, p. Hryhory z całą czeredą krewnych ławników, wójtem, pisarzem magistrackim, kupcami, oblegli drzwi Maleparty: przychodzili w nadziei że krzykiem, hałasem, wrzawą, groźbami, wymogą na mecenasie ożenienie z Naścią. Zaczęli z góry, ale po przywitaniu Maleparty, spuściwszy nosy na kwintę, ze wstydem odejść musieli.

— I znowu nie będzie wesela — rzekł smutnie pan Hryhory wychodząc; — to już tak trzeci raz Naści się nieszczęśliwie trafia!

— Niech jej choć zapłaci! — wołała jejmość.

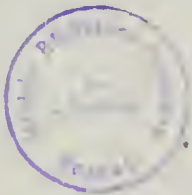
Nowe więc posły do mecenasa, nowe tentacje; dał się wreszcie pokonać może unikając narzekania którego coraz więcej się biał, stając się drażliwszym i dbalszym o opinią ludzką, zgodził się wypłacić nie

wielką sumkę matce. a w razie życia dziecięcia, dawać drugie tyle na jego wychowanie.

Szczęściem dziecie umarło, a Naścia? Naścia pozostała jak dawniej serdeczną przyjaciółką Maleparty, z którym razem śmiała się wkrótce z niedawno wyprawionej sceny i pędziła słodkie wieczory w towarzystwie p. Hrehorego i jejmości.

W następnym wszakże roku odnowiony ten związek zerwał się na zawsze. Maleparta widocznie się z wiekiem odmienił i dawniej niebaczny na to co o nim ludzie powiedzą, teraz okazywał się coraz czulszym na opinią. Nie chwalił się ze złego które czynił, ale je pokrywał starannie i jak mógł tłumaczył; oburzał się na potwarze, z których dawniej śmiał się tylko. On co się taił z majątkiem, teraz poczynął nim się chwalić, mówić o nim, i powoli okazywać mimo skąpstwa dostatki swoje w domu i sposobie życia. Kiedy niekiedy zapraszał do siebie gości, szukał związków, baczniejszy był na sprawy które przyjmował, pilnując by w nim choć pozór był sprawiedliwości. Widocznie gotowała się w tym człowieku wielka i stanowcza odmiana moralna.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 1437



JK1437